

Odra

WYDAJEMY W KATOWICACH, WROCŁAWIU
I SZCZECINIE SZESZCZĄDZIESIĄTYDRUGI
NUMER TYGODNIKA LITERACKO-SPOŁECZ-
NEGO „ODRA”

Dnia 2 lutego 1947.
Rok wydawnictwa trzeci.

Największa nagroda literacka Polski została przyznana

Sąd konkursowy nagrody literackiej Czytelników „Odry“ w składzie:

doc. Stanisław Helsztyński z Warszawy,
dyr. Roman Lutman z Katowic,
prof. Tadeusz Mikulski z Wrocławia,
prof. Kazimierz Wyka z Krakowa,
Wilhelm Szewczyk z Katowic,
Helena Wielowieyska z Krakowa,
Wojciech Żukrowski z Wrocławie,

zebrany w dniu 27 stycznia 1947 w drugą rocznicę wyzwolenia stolicy Gór-
nego Śląska, Katowic — postanowił przyznać

nagrodę w kwocie 150.000 złotych

EDMUNDOWI OSMANCZYKOWI

synowi ziemi dolnośląskiej

za dotychczasową działalność pisarską, ze szczególnym uwzględnieniem tomu
„SPRAWY POLAKÓW“

oraz nagrodę w kwocie 100.000 złotych

WŁADYSŁAWOWI JANOWI GRABSKIEMU

za cykl powieściowy „Saga o Jarlu Broniszu“ (tom I „Zrękowiny w Uppsali“,
tom II „Śladem Wikingów“).

W czasie obszernej dyskusji rozważano dzieła literackie i naukowe nastę-
pujących autorów:

Jan Baranowicz, Zbyszko Bednorz, Karol Bunsch („Dzikowy skarb“), Jan
Dobraczyński („Najeźdźcy“), Kazimierz Gołba („Lompa“), Anna Kowalska, Ta-
deusz Lehr-Spławiński („Pochodzenie i praojczyzna Słowian“), Józef Mitkow-
ski („Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski“), Ludwik Hieronim Morstin
(„W puszczy nadodrzańskie“), Wincenty Ogrodziński („Dzieje piśmiennictwa
śląskiego“), Kazimierz Piwarski („Historia Śląska“ i „Dzieje Prus Wschodnich“),
Stanisław Srokowski.

Edmund Osmańczyk

urodził się w r. 1913 w powiecie
strzelińskim na Dolnym Śląsku.
Do roku 1939 żył stale w grani-
cach państwa niemieckiego. Praca
jego literacka i literacko-publi-
cystyczna poświęcona była wy-
łącznie zagadnieniu walki o utrzy-
manie polskości na zachodnich
kresach ziem polskich, znajdują-
cych się pod kilkunastokrotną już
okupacją niemiecką. Jest redak-
torem berlińskiego „Młodego Po-
laka w Niemczech“ a specyficzne
warunki wydawnicze w Rzeszy
hitlerowskiej sprawiły, że wię-
kszość prac jego rozproszona była
po czasopiśmie. Tom wierszy
„Wolność jest słoneczna“ wydany
w r. 1937 w Opolu choć nie był
rewelacją w sensie artystycznym,
był doniosłym wydarzeniem kul-
turalnym w życiu Polaków w
Niemczech, a zwłaszcza Polaków
opolskich. Wymienić tu należy
także powstałą przed wojną po-
wieść „W Castrop“, opisującą sto-
sunki wśród emigracji polskiej
w Westfalii.

Wojnę przeżywa w Warszawie,
po wojnie zmienia się charakter
jego twórczości. Zwraca się ku
publicystyce, która przez swoją
dojrzałość artystyczną, pomijając
jej dojrzałość polityczną i naro-

dową, posiada obok siły wyrazu
i logiki przekonywania moc wy-
woływania wzruszeń estetycz-
nych. Obchodzi go sprawy naj-
ważniejsze, sprawa granicy pol-
skiej na Odrze i Nysie i sprawa
Ni-niec jako sąsiada Polski.
Książką programową w tym
względzie są „Sprawy Polaków“.
Jury nagradzając Osmańczyka
nagrodziło autochtona Ziemi Od-
zyskanych, którego twórczość li-
teracka poświęcona była wyłącz-
nie ludowi, z którego wyszedł, —
którego dojrzałość polityczno-
społeczna, wynikła z wiekowych
doświadczeń z sąsiedowania z na-
rodem niemieckim, nagromadzo-
nych w ludzie polskim ziem nad
Odrą i Nysą, służyć ma odtąd ca-
łej Polsce.

Władysław Jan Grabski

urodził się w r. 1901 w Warsza-
wie. Studia odbywał w Warsza-
wie i w Paryżu. W r. 1934 debiu-
tuje skonfiskowaną powieścią
„Bracia“, wydając w latach na-
stępnych dalsze powieści jak
„Kłamstwo“ i „Na krawędzi“. W
roku 1939 wychodzi jego powieść
o charakterze religijno-moral-
nym „W cieniu kolegiaty“.

Wojnę spędza pod Warszawą.
Nagrodzony cykl powieściowy pi-

sać zaczął w r. 1940, a zaintere-
sowania jego sprawami polskich
ziem zachodnich sięgają czasów
przedwojennych. Po wojnie pisze
i wydaje w 50 tysiącach egzem-
plarzy popularną i miłą broszurę
„Polska nad Nysą, Odrą i Pastę-
ką“ oraz pisze i wydaje obszerną
monografię miast Ziemi Odzyska-
nych „200 miast wraca do Polski“.

Jury nagradzając Władysława
J. Grabskiego za wyszłe dotąd
dwa tomy cyklu powieściowego
„Saga o Jarlu Broniszu“ nagro-
dziło pisarza, który jako jeden z
pierwszych zadał sobie trud zbli-
żenia współczesnemu czytelniko-
wi polskiemu spraw ziemi i mor-
za na brzegu szczecińskim w od-
ległym historycznym okresie, w
którym byliśmy tam i trwaliśmy
na swoim. Nagrodzone powieści
Grabskiego pozwalają nawiązać
utracony uczuciowy kontakt z od-
zyskanymi ziemiami a ich odległe
sprawy czynią sprawami prawie
współczesnymi. Poza tym są to
nieliczne u nas powieści morskie,
tym cenniejsze, że mówią o brze-
gu odzyskanym. W tematyce od-
krywcze, pełne artystycznego u-
miaru, powieści te w dziejowej
chwili powrotu narodu polskiego
na Ziemi Odzyskane spełnić win-
ny dobrze swe społeczno-arty-
styczne zadania.

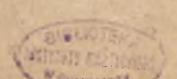


EDMUND OSMANCZYK



WŁADYSŁAW JAN GRABSKI

Dm/m/02



Ostatnie rozdroże

I.

Zegnaj północy!

Kartki kalendarza spadają niepowstrzymanie jak zwiędłe jesienne liście. Jeszcze kilka dni, a po pruskiej podróży zostanie tylko wspomnienie i ciepły prąd koło serca, gdy się je wywoła. Na wschodzie i południu czeka jeszcze ostatni wspaniały akord i żal by było, gdyby wypadł z partytury z braku zmitrzonego gdzieindziej czasu.

Dalszy plan podróży przewiduje Świętą Lipkę, jako ostatnią stację baroku. Ze Św. Lipki mam jechać jeszcze na Pojezierze Mazurskie, do Łuczana i Elku oraz do filipińskiej Ukty, aby zobaczyć egzotyczną osadę rosyjskich sekciarzy. Po drodze może uda mi się wpaść do Miłkołajek, albo do Pizsa (Jańsborka), gdzie rodził się Gizewłusz-Giżycki herb Gozdawa.

Dotąd, poza pierwszym tygodniem, tonąłem w urokach Warmii, zapamiętywałem się w obcowaniu z ludźmi i kamieniami, grząłem w coraz to głębszych młecznicach wiekowej polskości. Teraz u kresu podróży stanął nowy, nie mniej archaiczny świat polskiego i mazurskiego zarazem protestantyzmu z całym bogactwem dawnej i osobliwymi współczesnej myśli, z kłębowiskiem zwyczajów, które jak korzenie rośliny rosnącej na kamienistej glebie rozpełzały po powierzchni obcej rzeczywistości, wciskały w szczeliny, przebijały i gmatwały w poszukiwaniu zgodności form życiowych ze światem wewnętrznym przekonania.

Wiedziałem z góry, że nie zgłębię tajemnic mazurskiego pojezierza, że ledwie otrę się o nie powierzchownie. Miałem przecież nadzieję, że pewne sprawy ukazały mi się w pełniejszym niż dotąd świetle. Już sama sprawa ruchu gromadkarskiego domagała się konfrontacji. Z warmińskiej strony przekonywano mnie, że gro-

madkarstwo powstało jeszcze w epoce cuius regio i pierwotnie przechowywało obyczaj i wierzenia katolickie. Na Warmii przypisywano mu wielką rolę w zachowaniu szeregu przeżytków katolicyzmu wśród protestanckich Mazurów. Ci ostatni jednakże sprowadzali sprawę wyłącznie na tory wewnętrzno - protestanckie. Pojezierze poza tym według opinii działaczy — miało być bezdrożem mazurskiego regionalizmu i mimo bogatych tradycji wydawniczych i organizacyjnych, charakterystycznym rezerwatem „wymierających”.

Tak więc pole pracy archiprezbitera ełckiego Malecusa, kolebka Mrongowiusza i Gizewiusza, neofity polskości wielkiego Winklera-Kętrzyńskiego, ziemia Kajki „z Ogródka, pow. ełckiego” i wspomnianych, po kilkakroć wstrzemięzliwych katakumbowców luteranckich, gromadkarzy, których przywódców wycinał Hitler w Moabicie — stała ku północy wielki zew pelen pokus i obietnic.

Wielkimi skokami dążyliśmy z przygodnym towarzyszem z Fromborka ku Świętej Lipce. Po raz siódmy czy ósmy za czerwona latarka pociągu pozostał „przedostatni” Olsztyn, osłonięty firanką cienkiego kapuśniaczka. Komunikacja pruska, jak wiadomo, nie świetna, stawała tego dnia przed nami perspektywę piętnasto-kilometrowego marszu z Sątopy do Reszla i z Reszla do Świętej Lipki. PKS świętował na tej linii, jako że była niedziela, a tymczasem czas naglił do pośpiechu. Jechaliśmy pełni dobrych nadziei i rozległych planów. Gdy towarzysz pitrasił obiad, ja tkwiłem w mapie. Odwrótnie, gdy gotowałem herbatę — on wodził palcem po okolicach Reszla.

Tak zbliżał się początek końca. Gdzieś w księdze ludzkich przeznaczeń gmatwała się nasza najbliższa przyszłość w nierozwikłany spłot.

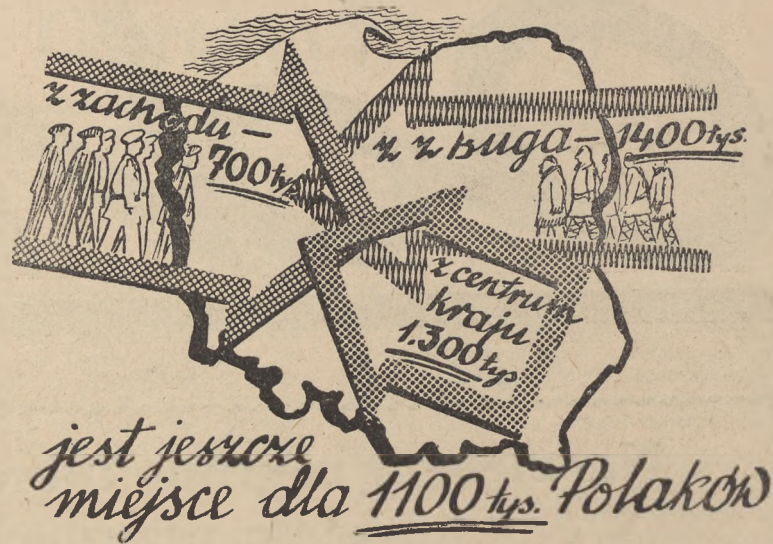
Unikałem dotąd mieszania Smętka w losy mej podróży i po-

magania sobie nim à la Wańkowicz ku nieukontentowaniu tuziemczych czytelników. Istotnie w okolicach Szczytna czy Olsztyna, a potem Morąga czy Malborka, pruski deus ex machina nie zdradzał się z swą obecnością. Komplikacje licbarskie a potem fromborskie, które w sumie pochłonęły dwa dni, nie zasługiwałyby również na wzmiankę, gdyby nie to, że zaczęły się od bałamutnych dyskusji z Niemcami. Dały się w końcu przezwyciężyć i nie zaciążyły na „operacyjnych” planach. W okolicach Reszla i Żądzborka po raz pierwszy trafiliśmy na tropy Smętka. Zaskrzeczała obca rzeczywistość, i nieuchwytny duch przekory, demon złego przypadku począł krzyżować przedsięwzięcia i niweczyć nadzieje.

Okolica Reszla leżała przed wojną poza granicą językową. Żądzbork zaś w kilkukilometrowym promieniu wgrzał się w kraj polskiej mowy jak zakrzywiony wilczy kiel, przebijał aż po puszcze piską i zaciskał na sąsiednim zębie niemieckim, który szedł od Biskupca na wskos ku wschodowi i miażdżył niskoprocentowy miążz etnograficznej polskości. W czasie wojny Niemcy rozebrali tu tor kolejowy z Sątopy do Reszla, a Żądzbork, ważny ośrodek komunikacji, odcięli od świata zerwawszy mosty. Z braku komunikacji w tej małej, nieszczęsnej okolicy utworzył się przymusowy zakątek niemieczyny, w którym dziwnym i niemieckim zwyczajem od rana do nocy wędrowały drogami kobiety i dzieci, od wsi do miasta, od miasta do wsi niby to po tańszy o złotówkę chleb, albo jakieś inne niezrozumiałe profity. Osadnicze domki niemieckie rozbrzmiewały, niczym radiowe odbiorniki, obcą mową. Ponure, ironiczne spojrzenia, tłumione opuszczaniem rzes, obmacywały przybysza, tarosząc powierzchność, jak kiedyś brutalne łapy zandarmów.

(Dokończenie na str. 4.)

Perspektywa Odry



W ciągu półtorarocznej administracji polskiej na Ziemiach Odyskanych wytworzone zostały pewne nieodwracalne fakty, które najsilniej zaważają na decyzji co do ostatecznych granic Niemiec. Wszelkie względy natury historycznej czy uczuciowej, którymi w propagandzie wewnętrznej skutecznie uzasadniamy konieczność posiadania Ziemi Odyskanych, w debacie międzynarodowej odpadają jako nieistotne, a w każdym razie mniej ważne. Doniosłe znaczenie natomiast mają będą owe nieodwracalne, przez nas stworzone fakty.

Są nimi: zaludnienie i nasiedlenie Ziemi Odyskanych przez ludność polską i wysiedlenie Niemców w granice współczesnych Niemiec. Oba te fakty łączą się w sposób organiczny z przyszłością i rozwojem ogólnoeuropejskiej sytuacji gospodarczej, która, jak już dziś nie trudno zauważyć, jest płaszczyzną, na jakiej rozwiązuje się zasadnicze problemy polityki międzynarodowej.

Jeśli 1 października 1945 r. na Ziemiach Odyskanych było już milion Polaków, a w rok później bo 1 listopada 1946 — 4.375.000 Polaków, to cyfry te nie są samym tylko obrazem zaludnienia, ale równocześnie obrazem zagospodarowania tych ziem. Na jednej z powyższych mapek widzimy wzrost ilości robotników na Ziemiach Odyskanych. Łączy się to ze wzrostem ilości przedsiębiorstw. W wielu działach jest on wprost imponujący. Np. w ciągu owego roku w przemyśle materiałów budowlanych uruchomiono — 108 przedsiębiorstw, w przemyśle włókienniczym — 126 przedsiębiorstw, w przemyśle cukrowniczym — 16 przedsiębiorstw, w węglowym — 14, w hutniczym — 13, gazowni — 32, elektrowni — 12 itd. A to są tylko cyfry przedsiębiorstw nowo uruchomionych lub odbudowanych, przy czym trzeba znać stopień zniszczenia w jakim je zastałiśmy, by uznać wspaniały i zwycięski trud rąk polskich na Ziemiach Odyskanych.

Ten nasz start gospodarczy budzi podziw szczerzy i niewymuszony u wszystkich cudzoziemców, zwiedzających Ziemię Odyskaną. Nawet niezbyt nam przychylna monachijska „Die neue Zeitung” w jednym z grudniowych numerów dziwi się ogromowi pracy polskiej we Wrocławiu.

W tym względzie mówić możemy, przewyżczając modną dziś niechęć do irracjonalności, o prawdziwym, sprawdzalnym zresztą cudzie nad Odrą.

— Wyżencie Niemców — objaśnił krótko Konrad Henryk zacisnął pięści.

— Cóż ci wadzą?!

— Słuchaj — odpart żarko. Nigdyście z ócem nie chcieli słuchać, com gadał, za prostaka mie trzymając... Słuchajże ten jeden raz: Jaka jest wasza gospodarka? Grodów już jest parę, co ino Niemcom w nich wolno, na prawie exluis Polonis, bo Ślązaki, prawia ocioc, niech lepiej na roli siedzą, niżby do podgrodziów ściągali... Kany ta rola?! Trzy ćwierci ziemi, co pod uprawą jest, dzierzą Niemce. Nasi jeno nowiny karczuja, a biedola. Kiej szmat wykarczuja dajecie rolę Niemcom, a ich dalej pchacie w puszcze... Niemcy na swoim prawie siedzą i o nikogo nie dbają, a z naszych, kto chce, ostatni lupież ściaga. Przez to Niemcy są bogate, a nasi nędzota. Niemce patronują się przewodzą, a nasi jeno za tym kesem chleba patrzą. Ustają od krwawej roboty. Tak nie może być!.. W klasztorach opaty i przeore Niemce. Nie dopuszczają do ślubów Ślązaków albo ich potem chłostaia, jeśli po swojemu mówią. W gromadzie już prawie polskiej mowy nie usłyszysz...

Odetchnął głęboko i ciągnął:

— Potrzeba osadników, już-ci lepiej było wziąć Prusaków pogańskich, Jadźwingów, Rusaków, jeno nie Niemców. Adyć-że ślepy by widział jako na zębę robicie! Ocioc Polskę chce zgładzić, królować. Niemców odeprzeć, a Niemców, wiele może, skłudza... Żeby być krzepiejszym, prawia... Na śmiech takie gadanie! Niemce będą was bronić od Niemców? I dziecko w to nie uwierzy! One nas zeżrą te Niemce przechytne, ze wszystkim zeżrą! Nic nie zostanie... Ni mowy, ni obyczaju...

Zacisnął pięści, aż chrupnęły. Łzy gniewu błysnęły mu w oczach.

— A ja za to — dokończył. — za Śląsko, w ćwierci dalbym się porabiał...

Henryk patrzył weń uważnie.

(Zofia Kossak-Szczucka: Legnickie pola).

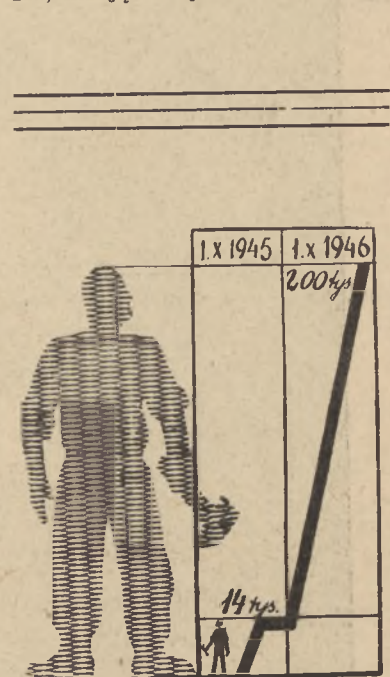
Cuda, cuda rozgłaszają

... Przyjacielu, otrzymałem twój list, w którym ostrej poddajesz krytyce agitację polską za granicą, agitację pochodzącą z kraju, agitację według ciebie za powrotem do kraju nędzy i ludzi — szkalów. Twierdzisz w swoim liście dalej, że nigdy na przestrzeni całej historii nie nagromadziło się w Polsce tylu ludzi złych, nigdy dzień polski nie był kształtowany przez tak usankcjonowane, powszechne, uprawomocnione zło. Argumenty twoje powierzchowne mogłyby się wydawać słuszne, dlatego właśnie, że tykają się rzeczy powierzchownych. Można by nawet nad nimi dyskutować, gdybyś je głosił w kraju, i dyskutowano by wtedy nad nimi na pewno.

Zwalczając w ten sposób „agitację polską” za granicą, uważasz, że spełniasz święty swój obowiązek narodowy. O, przyjacielu błędny i zły!

Jak ci wiadomo już, mieszkam w Szczecinie, w mieście znanym ci tylko poprzez niemiecki brzęk nazwy geograficznej, odnajdywanej na twoich mapach. Na naszych mapach nie tylko sama nazwa dźwięczy z słowiańska, nie tylko wzrastamy poprzez nią w odległą, prawdziwą choć niesprawiedliwą naszą historię, — dla nas nazwa ta już ma także znaczenie walki ze złem, walki o co-

raz lepszą treść polską na Ziemiach Odyskanych. W Szczecinie z mierzwy ludzkiej która tu przyszła, żeby zastąpić was, szlachetnych, tkwiących na „posterunku londyńskim”, wylania się w surowym i nieprzychylnym nam jeszcze dniu Polska piękniejsza, niż ją kiedykolwiek ujrzycie



Wykres ilustrujący wzrost liczby robotników na Ziemiach Odyskanych. Wróciliśmy na nasze ziemie odwieczne robotnikami i praca musi kształtować ich obraz.

w mglistych londyńskich snach. Posterunku naszego tutaj nie bierzemy tak „poważnie” jak wy waszego, w ogóle więcej wkładamy do pracy fantazji, mniej patosu. I może przez to rośnie tu Polska z błędami ale nie mniej rzeczywista, ciekawa, a dla was niewątpliwie — groźna.

Rozumiem, że ktoś ci naopowiadał wielu prawdziwych i dobrze anegdotycznie spreparowanych wieści o t. zw. szabrze, i stąd cały twój wywód o problemie zła. Rozumiem także, że i ino tam w Londynie o Polsce dzisiejszej „cuda, cuda rozgłaszają”. Nie namawiam cię wobec tego do powrotu, bo obawiam się, że zarażony tymi apokaliptycznymi wizjami, którymi się karmisz, zamiast pracować, musiałbyś się leczyć, a mógłbyś ostatecznie wpaść w ręce złych lekarzy, skoro wszystko tu jest złem.

Ja będę tu w Szczecinie siedział i może tu nawet umrę po pięknym, da Bóg, żywocie. Nie jestem komunistą, ale czyż to ma jakieś znaczenie, jeśli każdy ucziwy i dobry myśli tutaj o tej samej pracy? Jeśli marksista z katolikiem, skoro się tylko głębiej przenikną jako Polacy, pójdą wspólną drogą?

Przyjacielu, surowy sędzio londyński, przypomnę ci słowa poety domokrażnego z czasów okupacji: Rozgłaszają liczne cuda, nuż się Polskę zniszczyć uda...

Paweł Kupke.

Co robią Niemcy

Ostatnia wigilia Hauptmanna — Socjalizm a kultura — Matematyka poetycka — Jesteśmy niemieccy, czyż musimy być szlachetni



Arthur Hellmer, powróciwszy niedawno z exilu do Niemiec, wystawił w Hamburgu monumentalny „Potop” Barlacha.



Ostatnia wigilia Gerharta Hauptmanna w Agnieszkwie 1946. Rysunek wykonał Otto Linnékögel do wspomnienia na ten temat G. Pohla, zamieszczonego w bożonarodzeniowym numerze „Neue Berliner Illustrierte”.



Naczelny kat Niemców: Mastersergeant John C. Wood, główny kat amerykańskiego sądownictwa wojkowego w Niemczech, który wieszal zbrodniarzy norymberskich.

GERHARDT HAUPTMANN nie przestaje schodzić z łamów prasy niemieckiej. Dzięki temu, że umarł w porę, nie zamieszany w żadne intrygi partyjne ani międzystrefowe, czczony jest przez wszystkich jednakowo. Zapomina mu się kawał życia z okresu hitlerowskiego, także niepozbowionego przeciętą zaszczytów. Czyny się studia gorączkowe i świątobliwe nad jego młodością, kiedy imponował socjalizmem „Tkaczów”. A przypominając młodość wspomina się bez ustanku Wrocław, wiążąc to miasto z tragiczną niemieckością. „Das Tragische weht über der ostdeutschen Heimat dieses grossen Dichters” — napisano w jednym z pism młodzieżowych. A pismo „Wir”, także „ein Blatt der Jugend” zamieszczając wspomnienie o Hauptmannie niejakiego Gerharta Hauga drukuje wiersz Hauptmanna o Karkonoszach napisany w Agnieszkwie w listopadzie 1944, jeden z ostatnich wierszy poety.

Z okazji minionych świąt Bożego Narodzenia Gerhardt Pohl, pisarz, który niedawno opuścił Polskę z grupą wysiedleńców niemieckich, opisuje w „Neue Berliner Illustrierte” ostatnią wigilię Hauptmanna w Agnieszkwie 1945. „Ułóżcie mnie — powiedział Hauptmann — na sofie mojej matki. Zapalcie światło. Prawdziwe święta ludowe muszą być obchodzone także w biedzie i wśród łez. Łączą one ze społecznością, tworzą silny spóldźwięk człowieka ze swoim narodem...” Pito wówczas i sekt i szampa, Hauptmann zaś pił „Pjoltera”, ulubiony napój Ibsena, jak oświadczył. Pod koniec wieszery prosił o włączenie radia. „Tym razem — powiedział — będziemy diabelnie samotni na Śląsku.” Zaledwie to jednak wypowiedział, — podaje dalej Pohl w swym wspomnieniu, — pojawili się w holu ludzie, wieszniaczka, leśniczy a nawet gołębca z Jeleniej Góry, — z kwiatami, życzeniami, darami.

Tak wyglądała ostatnia wigilia Hauptmanna. Z licznych doniesień prasy niemieckiej wiemy już dzisiaj, że nie był on opuszczony, że odwiedzali go w Agnieszkwie przedstawiciele Kulturbundu, który rego honorowym prezesem był mianowany, w towarzystwie oficerów sowieckich. Odwiedzali go także niektórzy dziennikarze zagraniczni, przebywający w Polsce. Niedawno zresztą zrodziła się w Niemczech myśl — nie pamiętam już niestety, na łamach jakiego pisma to wyczytałem — by zwrócić się do rządu polskiego z prośbą o prawa eksterytorialności dla willi Hauptmanna w Agnieszkwie. Niemcy mianowicie pragnęłyby tam urządzić mauzoleum, które — jak podawał projekt, „przedstawić miałyby piękno Karkonoszów, jakim je przedstawił Hauptmann w swej twórczości.”

Taka jest pamięć Hauptmanna w Niemczech.

NIEMCY w tej chwili szukają gwałtownie literacko-genetycznej podbudowy dla współczesnej ich sztuki. Popularne hasło „Die Kunst dem Volke!” starają się realizować przede wszystkim przez stworzenie gęstej sieci bibliotek oraz organizację teatru powszechnego, mającego swe placówki względnie docierającego do najmniejszych miejscowości. Dziennik „Neues Deutschland” w artykule „Sozialismus und Kultur” zajmuje się tą sprawą szerzej, wychodząc z założenia, że socjalizm dla marksisty to nie tylko problem ekonomiczny ale i pewien ideał kulturalny. Hasło Liebknechta „Wissen ist Macht”, używane chętnie choć bez autorstwa w okresie hitlerowskim, jest dzisiaj jednym z najistotniejszych elementów politycznej w pierwszym rządzie regeneracji narodu niemieckiego. Przy poszukiwaniu ideowych protoplastów niemieckiej kultury socjalistycznej nie zapomina się ani o Arno Holzu, ani Bruno Willem, nie mówiąc naturalnie o Hauptmannie.

PUBLICYSTYKA niemiecka stara się wykazać, że pomimo terroru istnieje pewna ciągłość między epoką przedhitlerowską a dzisiejszą.

Ostatnio w całym szeregu artykułów próbowano wykazać, że istnieje także ciągłość walki politycznej, mającej swe gniazda oporu w kraju. Szczególnie wiele danych na ten temat ogłosił Günther Weisenborn, dramaturg i poeta, jeden z przedstawicieli niemieckiego ruchu oporu. Zaczęło się od tego, że Gabriele Stecker, przedstawicielka kobiet niemieckich na światowym kongresie kobiet w Nowym Jorku, w wywiadzie dla „New York Times” z dnia 15. X. 1946 oświadczyła, że nie było żadnego ruchu oporu w Niemczech i że to jest fakt, którego nie można ukrywać. To głównie pobudziło Weisenborna do opublikowania danych o istniejącym według niego ruchu oporu. Podaje on pewne cyfry. W roku 1936 Gestapo aresztowało 11.687 Niemców z powodu ich działalności lewicowej, do tego dochodzi 17.168 rozpraw o rzekomą działalność nielegalną. Weisenborn wnioskuje wskutek tego, że w każdym roku od 60 do 80 tysięcy Niemców czynnych było w ruchu oporu. To jest zatem sześć do ośmiu dywizji, a więc jedna Armia. Wszystko to, rzecz jasna, w ustach poety musi brzmieć jak poezja, z niedalekiej historii wiemy bowiem, że ta „Armia” konspiratorów żadnego wpływu nie miała ani na nastroje niemieckie w stosunku do podbijanych nieco później Mindervölkern, ani nie może pochwalić się żadnymi godnymi bohaterstwa konspiratorów innych narodów czynem Weisenborn wprawdzie wspomina że w roku olimpijskim Gestapo było w posiadaniu miliona 634.200 tajnych antyhitlerowskich ulotek, wydanych i rozpowszechnianych

na terenie Niemiec, a ponieważ była to tylko pewna część tajnych ulotek, można przyjąć — pisze dalej Weisenborn — że w roku olimpijskim pojawiło się w Niemczech więcej nielegalnych ulotek niż było członków partii hitlerowskiej. I to także jest swobodą poetycka matematyka, bo przecież każdy wie, jakie było praktyczne znaczenie jednego i drugiego faktu. Zresztą o ile nawet rok 1936 był obfity w tego rodzaju działalność, to sprzyjały temu wybitnie liczne rzesze cudzoziemców, przybywających na igrzyska olimpijskie i oslabiony wskutek tego system kontroli politycznej.

Ciekawy ze wszech miar przyczynek Weisenborna jest jeszcze jedną próbą rehabilitacji Niemiec. W tej chwili czynione są drobne badania nad niemieckim ruchem oporu i zobaczmy wnet, jak to bohaterstwo stawały Niemcy czoła hitleryzmowi...

ROWNOCZEŚNIE warto przeczytać list, jaki narodowo-socjalistyczny pisarz Rudolf G. Binding wysłał swego czasu do Romaina Rollanda, list opublikowany niedawno na łamach nowojorskiego „Aufbau” jako prawdziwy tym razem a niepoetycki przyczynek do etyki niemieckiej. Cóż pisze Binding? Pisze on pochwale przesiadawał w Niemczech. „Przyznajemy, że w Niemczech urządziła się polowania na ludzi, których uznaliśmy za niemieców. Przyznajemy i nie cofamy tego bynajmniej, że może być u nas pozbawiony praw, męczony a nawet zamordowany człowiek z powodu swego pochodzenia, wiary czy poglądów. Nie zaprzeczamy też, że w Niemczech niema miejsca dla marksistów, Żydów, pacyfistów, humanistów i podobnego lajdactwa. Być może, jest to rzeczą ciężką dla samych ofiar, ale Bogu dzięki, dusza niemiecka i krew niemiecka zdolne są do heroicznego znoszenia cierpień innych. Cóż bowiem znaczą cierpienia poszczególnych grup, skoro naród nasz stał się znowu narodem, skoro dusza niemiecka święci znów zmartwychpowstanie, nowe narodziny. swój lot wysoki. Jesteśmy niemieccy, czyż potrzebujemy być szlachetni?”

Oto jest prawdziwa etyka niemiecka, której nie odmieni już dziś żadna poezja, — etyka zwycięska, przeciwko której nie protestowano w Niemczech w tym stopniu by można ją zachwiać. Etyka Bindinga była etyką wszystkich Niemców, nie Binding ją narzucił Niemcom, on ją tylko tak prerażliwie jasno wyraził. Dopiero mając ten fakt na uwadze, możemy czytać historię bohaterstwa niemieckiej demokracji. Korektury w historii tej czynić będziemy za pomocą dokumentów niemieckich, stać nas bowiem na pełnej rzetelności. Cóż niemieckie oddajmy Niemcom. Tak też oddajemy im list Bindinga. Zobaczmy, co z nim uczynią. wisz.

Michał Pollak

Raport

Działalność Biura Ziem Odzyskanych Ministerstwa Oświaty w roku 1945/46

I.

PROGRAMY I DROGI

Kiedy Ministerstwo Oświaty przejęło ostatecznie opiekę i bezpośredni nadzór nad szkolnictwem i oświatą na Ziemach Odzyskanych, wielkie przed nim stanęły zadania do spełnienia i nowe zupełnie o wielkiej doniosłości zagadnienia wysunęły się na czoło.

Trzeba było poza organizowaniem normalnych władz szkolnych i szkolnictwa podjąć zasadniczy trud zapoznawania pracowników oświatowych z tymi ziemiami, aby mogli zrozumieć należycie psychikę polskiej ludności od dawna tam osiadłej, prowadzić prace wykazywania ludności napływowej ważności tych ziem i głęboko zakorzenionej polskości, aby tą drogą oddziaływać na stopniowe zlewianie się różnych warstw w jednolite nowe społeczeństwo. Trzeba było z całą świadomością intensywnie prowadzić akcję uświadamiania jednych i drugich, że Ziemie Odzyskane obejmujemy na stałe, bez zastrzeżeń oraz, że te ziemie jako prawowici gospodarze urządzamy wedle swej woli na zawsze. W dalszym zaś ciągu należało specjalną opieką otoczyć szkołę, jako bardzo ważny czynnik współdziałający w procesie tworzenia się typu nowego Polaka, umożliwić nauczycielstwu i administracji szkolnej skuteczną pracę dla dobra Polski, a młodzieży ułatwić naukę i celowe zapewnić wychowanie. Trzeba było rozpocząć żmudną pracę usuwania pokostu niemieckiego, który gęstą warstwą pokrył w ciągu szeregu stuleci ziemie polskie i w wielu wypadkach polskości zadusił. W związku z tym należało zainicjować i prowadzić wielką akcję repolonizacji na dłuższy obliczony okres, akcję nasycania książką polską terenu a usuwania książki niemieckiej, udostępniania polskiej kultury wszelkimi środkami, aby usunąć zakorzenione wpływy rzekomo wyższej kultury niemieckiej.

Dla wykonywania tych zadań i otoczenia prac podejmowanych na nowych terenach szczególną opieką i wytyczania im określonego kierunku utworzone zostało z końcem sierpnia 1945 r. w obrębie Ministerstwa Oświaty Biuro Ziem Odzyskanych.

Sprawy oświatowe i szkolne, dotyczące Ziem Odzyskanych, związane zostały w ten sposób z całością zagadnień pozostających pod opieką Ministerstwa Oświaty i nie zostały włączone do zakresu działania powołanego do życia w listopadzie 1945 r. Ministerstwa Z. O.

Poprzez Biuro Z. O. kontaktuje Ministerstwo Oświaty z Ministerstwem Z. O., które w swym zakresie działania skutecznie dopomaga we wszystkich przypadkach, gdy chodzi o umożliwienie rozwoju oświaty i szkolnictwa na Ziemach Odzyskanych. Związana między innymi bezcenna jest pomoc Z. O., gdy budynki szkolne zajęte są na inne cele, a młodzież musi się uczyć w nieodpowiednich warunkach, wśród wielkiej ciasnoty przy skróconym z konieczności trwania lekcji szkolnych i maksymalnym wykorzystaniu lokali. Podobnie gdy trzeba żywiej zainteresować szkołę i młodzież czynniki samorządowe czy administracji publicznej, Ministerstwo Z. O. z wielkim zrozumieniem spraw szkolnych czyni wszystko, aby ustosunkowanie się tych czynników było jak najlepsze i najczystsze.

Biuro Z. O. ze swej strony stale informuje Ministerstwo Z. O. o wszystkich zasadniczych poczynaniach w dziedzinie oświaty i szkolnictwa na Z. O.

Ministerstwo Z. O. informuje też o ruchach migracyjnych ludności o planach zasiedlenia Ziem Odzyskanych, do których Ministerstwo Oświaty musi dostosowywać swą politykę personalną oraz plany organizacyjne różnych szkół.

Ogromnie żywa rozwinęła się od samego początku współpraca Biura Z. O. z Instytutami Naukowymi pracującymi nad zagadnieniami Z. O.: z Instytutem Zachodnim w Poznaniu, Instytutem Bałtyckim w Bydgoszczy, z Instytutem Śląskim w Katowicach i Mazurskim w Olsztynie. Po zorganizowaniu się „Książnicy-Atlasu” w Warszawie i Wrocławiu Biuro nawiązało stosunki również z tą instytucją wydawniczą.

Instytuty pomocne są w organizowaniu kursów naukowo-informacyjnych dla pracowników oświatowych i administracji szkolnej, współpracują w układaniu programów tych kursów, umożliwiają trafny dobór prelegentów-naukowców, znawców poszczególnych terenów i poszczególnych zagadnień. Niezależnie od tego Instytut i Książnica Atlas publikując prace naukowe i naukowo-popularne, dotyczące Ziem Odzyskanych, walnie przyczyniają się do rozpowszechniania i pogłębienia znajomości Z. O. a tak skutecznie dopomagają Biuru w spełnianiu jednego z zasadniczych jego zadań.

Program wydawniczy tych instytucji, związany z zagadnieniami aktualnymi Z. O., uzgodniony na wspólnej konferencji przy współudziale Biura Z. O. uchyla możliwość jakichkolwiek nieporozumień i dwutorowej pracy. Wydawnictwa wykorzystywane są przez Ministerstwo Oświaty do użytku administracji szkolnej i szkół, dla których zakupywane są centralnie i rozsyłane według ministerialnego rozkładnika.

Podobnie ścisłą współpracę utrzymuje Biuro z „Państwowymi Zakładami Wydawnictw Szkolnych”, które wydają w dziale Popularnej Biblioteki popularno-naukowe prace Z. O. Program wydawniczy w tym zakresie uzgodniony jest z Biurem Z. O.

Od początku swego istnienia ścisłą łączność utrzymuje Biuro z „Polskim Związkiem Zachodnim”, rozwijającym bardzo żywą działalność na terenie Z. O. Wspólne narady, częste konferencje, wymiana myśli i pism na przeróżne tematy dotyczące akcji oświatowo-kulturalnej na ziemiach zachodnich przynoszą sprawie zespolenia tych ziem niewątpliwie wielkie korzyści.

Tak samo żywa współpraca Biura nawiązana jest od początku z „Polską Agencją Zachodnią”, a od lipca b. r. z „Zachodnim Wydawnictwem” powstałym przy P. Z. Z., które podjąwszy się publikowania również aktualnych zagadnień Z. O. ułatwia Biuru akcję rozpowszechniania znajomości Z. O.

Aby móc planowo prowadzić pracę dla Z. O., Biuro poprzez swych pracowników przeprowadziło przede wszystkim badania w terenie zmierzające do zorientowania się w stanie potrzeb i organizacji szkół, przedszkoli, domów dziecka, w stanie opieki wychowawczej i zdrowotnej nad młodzieżą. Zainteresowano się też dołą nauczyciela, warunkami jego życia, sprawą przydziałów, bezpieczeństwa jego osobistego. Nie pominięto też sprawy budynków szkolnych, urządzeń wewnętrznych, pomocy naukowych, bibliotek, podręczników. Zwrócono uwagę także na współzycie dzieci autochtonów z przybyszami, badano postępy rozpoczętej repolonizacji. Tą drogą Ministerstwo mogło ustalić sobie pewien obraz całości potrzeb i braków na poszczególnych ziemiach oraz ustalić na tej podstawie wytyczne najkonieczniejszych prac i ich kolejności.

(Dokończenie „Raportu” w następnych numerach.)

Ostatnie rozdroże

(Dokończenie ze str. 1).

Ze stu tysięcy Niemców, zamieszkujących przed falą wielkich wysiedleń letnich teren woj. olsztyńskiego, dwadzieścia tysięcy pogrobowców smętkowych żyło w okolicach Reszla i Żądzorka dzięki zniszczeniom, wyrządzonym przez współziomków. Mazury mieli tu smutne, uciekające spojrzenia. Zdradzali trwożną nieufność i obawę, przechodzące w jakiś obojętny znudzenie. Gdy po wytrwałych wysiłkach nawiązywało się z nimi rozmowę bardzo przyjazną i szczerą. Był cień człowieka zrywał ją jak napiętą nić. Z językiem było tu gorzej, niż na zachodzie. Dzieci nie mówiły prawie po polsku, w niektórych domach nawet starzy się nie kwapili. Tam, gdzie mazurska mniejszość tkwiła w potrzasku niemczyzny dzieci bawiły się z niemieckimi, a starzy utrzymywali z Niemcami stosunki. Za kulisami tej pozornej zażyłości krył się smętkowy duch. Czują się z nią jakiś ciężki gniot, przymus szeptanej propagandy, presję moralną wywieraną na tragicznym polskim ludzie. Tu było inaczej, niż na północnym zachodzie, który poznałem jedząc z komisją weryfikacyjną. Tam ludzie nie mówiący po polsku, albo tylko słabo, wstydzili się i usprawiedliwiali ze swych braków w wystąpieniu, a niejednokrotnie legitymowali niezwykłymi czynami, jak pewien zmieniony człowiek, który uratował grupę polskich oficerów.

Tu pokutował jeszcze Smętek nie przegany na czas do Vaterlandu, brutalny wobec słabych, wykrętnie a nieuchwytnie skądliwy wobec mocnych. Tu od czasu do czasu napotykało się niezaczęty, gorzki smak jego panowania z minionych lat.

Jak sobie kiedyś radził z rasową czystością tych poczciwych słowiańskich, litewskich (pruskich) czy zgoła orientalnych gęb jak podciągał je pod strychułec, nie istniejącego tu omal, „szlachetnego” typu nordyckiego — nie wiem. To tylko pewne, że do dziś w jednej z wioski najwięksi patrioci niemieccy i byli członkowie NSDAP nosili „czysto niemieckie” nazwiska, Brzozowski i Kamiński, że wyrwali się do Niemiec, boczyli i, pewnie wpływali na zastraszone polskie Mazurów.

Odżyła przytłumiona w podróży świadomość wielu żywych jeszcze tragizmów i czujność, stepiona w czasie weryfikacyjnych ekskursji, a mimo wszystkie niedociągnięcia i szkody dokonania nasze w Prusach na polu narodowościowym prawem kontrastu ukazały się w jaśniejszych barwach.

II

Smętek czekał zdaje się już w Sątupach. Nie przybrał postaci potwora z papier maché, pokrytej króliczym futrem i jaskrawym lakierem, nie wsiadł nawet w opasłej osobie niemieckiego piwośza, ale dał się odczuć od pierwszej do ostatniej chwili pobytu w tych stronach, pociął i mataczył, aż odpadł bezpowrotnie nad rudziskim jeziorem, do kąd pojechałem po raz drugi, miast nad Sniardwy. Tam po raz pierwszy od dłuższego czasu błysnęło słońce.

Dziesięć kilometrów jazdy furmanką nie zapowiadało się zrazu najgorzej. Olsztyński kapuśniaczek odleciał z anemicznym wietrzykiem, który nieporządnie posprzątał niebo i przepadł za płaskimi wznieśieniami. Nieboskon uśmiechał się zagadkowo, jakby kącikami ust, błękitnymi strzępkami lazuru i chłodną jasnością seledynu. Słońce muskało dalekie zbocza bladymi sнопami światła, ale nie wychodziło z ukrycia chmur.

Osadniczy konik lekko poderwał ogumiony wóz i ruszyliśmy w stronę Reszla. Pół drogi podłódzki osadnik bawił nas opowieściami o wojennych perypetiach i fluktuacjach osadniczego

losu, o fantastycznych zdobyczach „pionierskiego” okresu, jakie jednego dnia tryskał humorem i optymizmem, rozruszał zwoina pasażerów ogumionego „kabrioletu”.

— Za dwa tygodnie będę miał kryty „autobus” — oświadczył z przechwałką. Dwa konie owianej trakcji miały stanowić siłę pociągową tego wehikułu obliczonego na kilkanaście osób.

— Ale co będzie dziś? — zapytał ktoś ze sceptyków.

— Dziś!... machnął niedbale ręką przedsiębiorczy „pionier” — nie zmokniemy zbyt.

Smętek manipulował strzępkami błękitu, nie przeskadzając w rozmowie. Po kilku kilometrach przestaliśmy spoziierać trwożnie na niebo i oddaliśmy się konwersacji. Wkrótce wyczerpaliliśmy temat stosunków rodzinnych spiętego konceptami woźnicy i przeszliśmy na zbiory. Nie oeszło się bez omówienia plagi myszy (a jakże), po czym wypłynęła kwestia współpracy miejscowych z napływowymi, a gdy wszystkie sprawy, jakie się wałkuje na pruskich szlakach, zostały poruszone, padło sakramentalne pytanie o ilość Niemców w okolicy. Na ten moment czekał widocznie Smętek. Nim usłyszeliśmy odpowiedź, odkręcił wszystkie niebieskie kurki i dał znać, że czuwa.

W straszliwym stanie dowlekliśmy się do Reszla... Ojciec, który wioził syna na praktykę do reszelskiej fabryki maszyn rolniczych, kłapał bezwiednie zębami i nie zważał na krople deszczu spadające mu na nos z opadłego ronda kapelusza. Młody adept mechanicznego kunsztu na przemiany stawał i opuszczał przemokły kołnierz gabardynowego płaszczka. Więjska jejmość otulona kocem zerkała na świat boży przez niewielki wziernik, przez który widać było tylko oczy. Milczał nawet wesoły woźnica, przykryty zgrubsza dziurawą derą. My z towarzyszem ochranialiśmy nasze bagaże, nie zważając na potoki deszczu spadające na nas samych.

Woźnica wysadził nas na rynku i czym prędzej zaciął konika, który poczłapał rażno w stronę domu. Wkrótce rozeszli się i inni współtowarzysze podróży, żądni wypoczynku pod dachem i błogosławionego ciepła domowych ognisk. Zostaliśmy sami. Gdzieś poza zasięgiem smętkowych czarów słońce schyliło się ku wieczorowi, a ludzie wypatrywali oczy na cuda zachodu, tu w dziwnym powieciu reszelskim, którego stolica mieści się... w Biskupcu, lało na całej rozległości horyzontu, łącznie z pięcioma kilometrami naszej dalszej podróży.

Przeczekaliśmy drżący w niezajętej dotąd restauracji, ocienionej obfitością dzikiego wina. Deszcz siekł po brukach miasteczka, oszczędzonego omal całkowicie przez wojnę. Śmieszne w Prusach 5% zniszczeń złożyło się na straty reszelskie. Ostał się gotycki kościół z masywną wieżą i zamek, gdzie poniewierali się po ziemi starodruki i resztki muzeum, a co najdziwniejsze nieknięty pozostał rynek i rozpalil wtórny nawrót tęsknoty ku wiele piękniejszym północnym rynkom miejskim, obróconym w księżycowe usypiska. Z za firanki dziłkiego wina obserwowaliśmy z zadością ciche misterium niedzielnego popołudnia w prowincjonalnym miasteczku. Miejsce piękności celebrowały pod baldachimami balkoników w odświętnej five o'clock, drwiąc z deszczu pod kapturami celofanowych peleryn. Starsze pokolenie delektowało się stateczniej przytulnością czterech ścian i widokiem pelargonii w okiennych skrzynekach. Życie miasteczka, senne i nobliwe zdawało się nie znać co to kolce i przeciwności losu.

Przed nami plawiło się w deszczu pięć opętanych kilometrów marszu. Cóż było robić? Otuliliś-

ne płaszcz, poprawili rozmokłe nakrycia głowy, obrzucili cierpkimi spojrzeniami reszelskich sybarytów i spojrzawszy sobie wymownie w oczy, ruszyli przed siebie.

Pragnienie znalezienia się w ciepłym pomieszczeniu i zwaleni z siebie ciężaru namokłych ubrań, dodawało siłę i energię. Pierwszy kilometr przelecieliśmy jak na skrzydłach. Z zapartym tchem my pieczołowicie plecaki w włas-

nych tajemnicę różańca. Pono trzysta metrów trzeba, aby idąc wolnym pielgrzymim krokiem odmówić każdy z dziesiątków. Światły twórca zastosował się do tego, i chcąc umożliwić pątnikom święto-lipskim to pobożne ćwiczenie, ostatni etap drogi podzielił na różańcowe odcinki. Liczyliśmy je żarliwie, depcząc wytrwale, świecący z drwiną asfalt. Ciężkie, nawilgłe ubrania zaczęły zwolna... parować, jak koce na zdrożonych koniach. Oddech stawał się krótszy, a nogi drętwiały z wysiłku. Szyby od wilgoci płaszcz, rozwieszona na plecach, chłastała połamami po bokach.

Nagroda literacka Czytelników „Odry”

Dwunasta lista składek.

Mgr. Stanisław Piaskowski, wojewoda dolnośląski 50.000 zł

Franciszek Pająk, Katowice 500 zł

W. Sojka, Czeladź 100 zł

Zygmunt Kławe, Bażanowice 100 zł

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” 46.200 zł

W ten sposób nagroda literacka czytelników „Odry” i wojewodów Ziemi Odzyskanych — bo taki w końcu przybrała charakter — osiągnęła do dnia 27 stycznia br., t. j. do dnia posiedzenia jury nagrody, sumę 250.000 złotych.

i szaleństwem w oczach bodliwym głowami złośliwą ścianę deszczu, krocząc wytrwale ku rozstajnym drogom podmiejskich pól. Tam miała się rozpoczynać asfaltowa szosa na Świętą Lipkę. Daleko w polach spostrzegliśmy z przygnębieniem, że w marszowym zapale minęliśmy właściwą drogę.

Stara babka wileńska z uśmiechem pobłażania wyciągnęła sękaty palec w zadmioną dal i nakazała odwrót.

— Na Świętą Lipkę tam... — rzekła lapidarnie, a potem troskliwie owinęła zmokłą rękę w „nieprzemakalny” wór i podrepnęła ku pobliskiemu domowi.

Zrobiliśmy w tył zwrot i w wysięgowym tempie wróciliśmy na zagubiony szlak. Nie licząc nadłożonej drogi od Świętej Lipki, dzieliło nas ciągle pięć kilometrów.

Pobożna przeszłość pobudowała przy drodze z Reszla do Lipki piętnaście kapliczek, przedstawia-

jących tajemnicę różańca. Pono trzysta metrów trzeba, aby idąc wolnym pielgrzymim krokiem odmówić każdy z dziesiątków. Światły twórca zastosował się do tego, i chcąc umożliwić pątnikom święto-lipskim to pobożne ćwiczenie, ostatni etap drogi podzielił na różańcowe odcinki. Liczyliśmy je żarliwie, depcząc wytrwale, świecący z drwiną asfalt. Ciężkie, nawilgłe ubrania zaczęły zwolna... parować, jak koce na zdrożonych koniach. Oddech stawał się krótszy, a nogi drętwiały z wysiłku. Szyby od wilgoci płaszcz, rozwieszona na plecach, chłastała połamami po bokach.

Przed samą Lipką zawarły się upusty niebieskie, ale za to droga na skróty błyskała okami kałuż. Trzeba było nadłożyć dobrych kilkaset metrów wirażu, nim za malowniczym skretem, w obramieniu drzew urywającego się lasu, perła mazurskiego baroku uśmiechnęła się do nas bielą swej fasady.

Tylko plecaki przetrwały sucho kilkugodzinne natryski, za to ubrania trzeba było zwlekać przemocą i rozwieszać na korytarzach świętolipskiego klasztoru. Sączyły się z nich strumyczki wody i peizaży po podłodze krętymi strużkami. My też przedstawialiśmy obraz nędzy i rozpaczy. W krótkich harcercskich spodniach, w letnich sandałach i sportowej koszulce dygotałem jak motor diessowski na pełnych obrotach. Podano gorącą kawę i ta dopiero pobudziła na tyle leniwego obiegu krwi, że haniebna „gęsia skóra” zaczęła powoli ustępować z nawpół przykrytych ciał. Podróżny „fason” wracał w miarę wprowadzania coraz to nowych jednostek kalorycznych w sfatygowane organizmy, a dobroczynne ciepło docierało stopniowo do zziębniętych członków. Na drugi dzień w podobny sposób gorące żelazka przywróciły do formy łachmany naszych ubrań.

Nim się to jednak stało, zapakowano nas pod puchowe pierzyny. Zasypialiśmy czując ciężar zmęczenia w zdętwiałych nagle nogach, grzbiecie i karku. Mrok spadał ciemnymi płatami we wgłębienia świętolipskiej niecki, a dźwięczne kościelne zegary wystrzeliwały gesto wiwaty kwadransów w senną dal. Ostatnie świadome myśli gasły pod wpływem nowego ładunku ciepła, jak wypalone ogarki. Na końcu zanikła błoga pewność, że nisko zwieszona chmury deszczowe kołują zawiedzione bokami, pierwszy raz tego dnia bezsilne.

III.

Cały dzień następny nad Świętą Lipką przelatywały rzęsiste deszcze. Z czubów okolicznych sosen i świerków kurzyło się od rana, a dachy kościelnych budynków powlekała wilgotna glazura. Snuliśmy się od rana po kościele i kolumnadzie, grzebali w klasztornej bibliotece, nie tak dawno pozbiieranej z okolicznych pól, ale oczy nieustannie, jakby przyciągane magnetyczną siłą, wznosiły się ku zachmurzonemu niebu. Koło południa wreszcie znaleźliśmy ciekawe zajęcie i oddali się lekturze pełnej kapitalnych „niedyskrejji” żółtej broszurce o „Wallfahrtsort Heiligelinde in der Diözese Ermland. 4. verbesserte Auflage. Braunsberg 1938”. Ona zwróciła naszą uwagę ku przeszłości.

Kościół świętolipski i jego otoczenie należy do najciekawszych i najpyszniejszych zabytków pruskiej polskości. W czasie mych wypadów na Ziemi Odzyskane nauczyłem się lubić barok. Na kamienistych gruntach sfer niemieckiego wpływu i pobożowskich wiekowych zmagających polskoniemieckich ten konwencjonalny i pretensjonalny dla wielu ludzi styl zdobył sobie wysokie miejsce w sentymentach, jako reprezentacyjne znamię polskość, przejaw bujności naszego życia kulturalnego i ślad często jedyny w swej ostentacji polskiej przeszłości na obliczu Ziemi Odzyskanych.

Święta Lipka stanowiła ukoronowanie pruskich dziwów baroku

i istny klejnot na książęco-pruskim pustkowiu ducha.

„Każdy, którego stosunek do dziejów narodu niemieckiego jest żywy, staje chętnie przed wspólnymi katedrami i kościołami, stworzonymi ręką minionych wieków, gdzie mieszka mowa czasu i budowniczych” — zachęcał opornych widać rodaków autor żółtej książeczki już w pierwszym zdaniu. Mocno niezgrabna, choć na tym miejscu na czasie, była ta pseudo-patriotyczna apostoła A. D. 1938. Wystarczyło i wystarczy stanąć przed kościołem świętolipskim z postaciami polskich świętych na jego frontonie, albo poprostu skonfrontować kilkadziesiąt następnych stron broszurki, by dojść, że „mowa czasów i budowniczych” jest niedwuznacznie obca tym, których „stosunek do dziejów narodu niemieckiego jest żywy”.

Powstała Święta Lipka w zamierzchłej przeszłości XIII wieku. Mówi legenda, że jakiś skazaniec, idąc za objawieniem czy snem, jaki miał w noc przed egzekucją, wyciął w drzewie figurkę Bogarodzicy, a uzyskawszy dzięki temu wolność, zawiesił ją na pierwszej napotkanej lipie.

Prus, Polak czy Niemiec miał paść ofiarą krzyżackiej srogiej sprawiedliwości i wywinął się cudem z jej uścisków — legenda milczy. To pewne, że niewątpliwie niemieckie ręce zburzyły w r. 1524 sławne już szerokie miejsce kultu i zniszczyły dzieło bezimiennego skazańca. Chyłkiem pielgrzymował po tym prosty lud z sekularyzowanych Prus Książęcych na grzy leśnej kapliczki wbrew intencjom hohenzollernowskiej władzy, która nie żyła sobie, by jakieś niewygodne tradycje miały pokutować na świętolipskim odludziu. Gdyby to tylko od niej zależało, „mowa czasów i budowniczych” nie miałaby tu nigdy prawa obywatelstwa.

Polak był odnowicielem Świętej Lipki i on to sprawił, nie bez długoletnich zabiegów, że na miejscu porośniętym mchem i chwastami rozwaliska, powstała druga z kolei kaplica.

„Wybrany w r. 1604 pobożny — jak stwierdza broszurka — biskup warmiński Szymon Rudnicki” zawiązał się, by przerosować u świeckiego kolegi — lennika, wskreszenie na jego ziemi centrum katolickiego kultu maryjnego i ośrodka oddziaływania na mazurską ludność. Czasy kontrreformacji były okresem, gdy biskupi warmińscy miewali bardzo śmiałe pomysły. Dążenia księcia biskupa nie znalazły jednak uznania w oczach tych, których pozytywny stosunek do dziejów narodu niemieckiego nie ulegał kwestii. Biskup napotkał w Królewcu na opór równie zdecydowany, jak jego własne plany. Daremnie chwycił w swe żagle wiatry politycznych koniunktur i wygrzywał posiadane u królewickiego dworu wpływy. Kurfürst wynajdował nieodmiennie coraz to nowe sposoby do gry na zwłokę i utrzymywania sprawy w miejscu. Po dziesięciu latach zabiegów Szymon Rudnicki nie posunął jej ani na krok i nie było nadziei, by bez potężnego sukursu zdołał ją przeforsować. Po jednym więcej bezskutecznym wojażu do Królewca, począł się biskup oglądać za pomocą oficjalnej Polski i zjednał dla swych planów Stefana Żadorskiego, męża wzorowej pobożności, wielkich talentów i łask u królewickiego dworu, a sekretarza króla Zygmunta III. „Ten poruszył polityczne sprężyny i Kurfürst zmieknął, jakkolwiek nie zrezygnował z oporu. W r. 1619, po piętnastu latach zabiegów, pozostał do przełamania jeszcze opór właściciela dóbr świętolipskich, jakiegoś von Gröbena, niechętnego budowie. Zdawało się, że sprawa utknie znowu na całe lata. Ale Stefan Żadorski nie darmo był mężem „wielkich talentów”. „Wyjednał pismo całego polskiego dworu, króla Zygmunta, królewicza Władysława i królowej Konstancji” do opornego pana i jeszcze tego samego roku doszła do skutku sprzedaż miejsca pod wznowioną Świętą Lipkę. Żadorski nie spoczął bynajmniej na laurach. To zrozumiałe, że poparł budowę, ciekawsze, że chciał

„świętemu miejscu dodać świetności i zapewnić bezpieczeństwo“ przelał testamentem na „króla polskiego (obowiązk) kolatora i opiekuna nowego kościoła i okolicznych obszarów“, co broszurka stwierdza, oczywiście bez wyjaśnienia, że było to votum nieufności wobec wspaniałomyślnych gestów Pruskich Danaów.

Kościół oddano Jezuitom z poleceniem kontynuowania rozbudowy. Widać biskup Rudnicki dobrze przewidywał następstwa odnowienia polskiego centrum odpułstowego, skoro wkrótce po tym budowała Żadorskiego nie mieściła licznie napływających patników. Gasnąca Polska króla Jana i Augustów jeszcze raz postarała się, by „mowa czasów i budowniczych“ otrzymała godne siedlisko i wyraziła żywe uczucia kraju dla tego oddalonego miejsca. Już po traktacie welawsko-bydgoskim, a w przeddzień koronacji króla „in Preussen“ Jezuiti, czując oparcie w okolicznej i zakordonowanej polskości, zaczęli bić w latach osiemdziesiątych pale w bagna świętolipskie, gdy zaś i tego było mało, zwalili cały stok pobliskiej góry na mocz, aby rozszerzyć możliwości rozbudowy. Polska nie zawiodła zaufania i zdobyła się na królewski podarunek dla książęcych jeszcze Prus. Najpiękniejszy barok wileński, dzieło Ertly'ego i mistrzów jezuitów, Włochów, Polaków, Belgów i Niemców stanął na tym odludziu jako wspaniały pomnik żywego zainteresowania się Polski potrzebami odpadającego stopniowo szmatu ziemi przeznaczonej.

Autor żółtej książeczki, z niezwykłą jak na Niemca, rzetelnością, przedstawił wysiłki i zabiegi polskich fundatorów i dobrodziejów, wśród których wyróżnili się biskupi warmińscy „Potocki*) und Szembek, Bürger aus Kössel, Mehlsack und Königsberg sowie... vide polnische Grafen“. Proporcja tego wkładu nie określona przez autora, wyciera z każdego kąta w Św. Lipce i z nieporadnej, jeśli idzie o polskość miejsca, książeczki. Zasługi Polaków mierzy się wysiłkami i hojnością całych pokoleń, niemieckie pojedynczymi ofiarami. Taki biskup Szembek zapewnił kościół ołtarzami i sprzętami, fundował kaplice i polichromie, a miarą jego oddania świętolipskiemu dziełu jest wyposażenie warmińskiego malarza Macieja Meyera z Licbarku, aby mógł udać się do Rzymu i zgłębić tajniki malarstwa freskowego.

W wspaniałą polichromię sklepienia i budowę kolumnady włożył Szembek tyleż pasji, co pieniędzy, których Meyer, trzeba przyznać, nie zmarnował. Prawie półtora wieku trwały polskie zabiegi około Świętej Lipki. Jeszcze w r. 1734 „Kamieniarz Zachowicz“ (Czechowicz, Czechowicz [?]) postawił owych 15 kapliczek różańcowych między Reszlem a Świętą Lipką.

Nie dla gapiów niemieckich budowano ten przepysany zabytek. „...Johann Casimir... Fürst von Litauen Stanislaus Radziwill, 10 adlige Damen aus ferner Ukraine...“ zasłużyli na wzmiankę autora. Skąd inąd wiemy, że do „Linda Mariana“ pielgrzymował i Władysław I i niektóre królowe XVII w., a dwór Jana III brał żywy udział w upiększaniu wnętrza kościoła. Po każdej pobożnej wizycie skarbiec kościelny, dziś zupełnie rozgromiony, zyskiwał sporo kosztownych paramentów kościelnych, jak wspaniałe monstrancje w kształcie lipy (jedna zachowała się, aczkolwiek uszkodzona), bogato haftowane ornaty, zabytkowe kielichy i relikwiarze.

Mniej znakomici pątnicy uwieczniali swe imiona na wotywnych malowidłach, obiegających wnętrza kościoła. Rejestr żółtej książeczki obejmuje dwadzieścia pięć nazwisk, z których dwadzieścia jest ponad wszelką wątpliwość polskich. Inne są często wątpliwe, albo należą do obcokrajowców, jak ów Jan Gaulowik „Konsul von Wien und Sekretär seoner Römischen Majestät“ w roku 1700. Ludzie wszystkich stanów, z całej XVII-wiekowej szczyt gólnie Polski zapisali się na murach kościoła, a jest ich tu tylko maleńka, nie wiele znacząca, garść. Obieg polskiej krwi przez Świętą Lipkę był żywy i nieustanny.

Autor stwierdza smętnie, że po pierwszym rozbiore nastąpiła dla niej „ciężkie czasy“ z powodu „wieloletniej nagonki na Jezuitów“, co jednak nie było jedynym powodem niedostatku i trudności.

„Stosunki i bez tego były napięte — wyznaje — odkąd król polski utracił zwierzchność lenną nad Księstwem Pruskim, które stało się odrębną częścią elektoratu brandenburskiego.“

W walce z rządem pruskim uciekali się Jezuiti niejednokrotnie „do swych przyjaciół i dobrodziejów w Polsce i na Litwie, nie cofali się przed trudami kosztownych podróży do Warszawy i Wilna, Królewca i Berlina“. Nie pomogła jednak ani ta protekcja, ani zastrzeżenia testamentarne Żadorskiego. Książeczka melancholijnie wspomina, jak to wszystkie dobra klasztorne, na które złożyli się „szczególnie Polacy przez hojne darowizny pieniężne“, „przepadły“ na rzecz skarbu państwa po kasacie Jezuitów.

Zdzisław Obrzud

Piękny i zapoznany żywot Jana Wyplera

Jan Wypler, potomek starego rodu górnośląskiego, jest jednym z bardzo nielicznych w Polsce sinologów. Wszechstronnie wykształcony, erudyta i polihistor, posiada gruntowną wiedzę językoznawczą, historyczną i filozoficzną i wglębia się w problemy kultury. Jest dającym do pracy pracownikiem naukowym i zarazem artystą miłującym piękno. Natura kontemplacyjna, skłonna do metafizyki i pełna zrozumienia dla tajemnic mistyki.

Jako literat, przetłumaczył około 1.200 wierszy chińskich, z których tylko bardzo szczupły wybór utworów 22 poetów opublikował w książce wydanej na prawach manuskryptu — oraz z literatury polskiej na język niemiecki: „Hymny“ Kasprowicza, „Sędziów“ Wyspiańskiego, „Pomór“ Orkana i „Anhellego“ oraz „Mnich“ Słowackiego. Jako literat rozmiłowany w kulturze Wschodu i zarazem historyk kultury i myśliciel, ogłosił wybór myśli metafizyka — i wspaniałego poety zarazem — Czuang-dze, zaopatrzone w wyczerpujący komentarz i wnikliwą rozprawę, wyjaśniającą poglądy na świat i dziedzinę mistyki chińskiego filozofa-mistyka.

Jako historyk, dał dwie rozprawy w „Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku“: 1) „Sobiesiana ze Śląska“ (r. 1934) i „Stosunki prawno-mażeńskie szlachty pszczyńskiej od XVI do XVIII wieku“ (r. 1938), oraz wartościową pracę pt. „Przyczynki do historii starogórnośląskiego rodu rycerskiego Wyplerów w byłym państwie pszczyńskim“ (r. 1936). Jako pedagog-popularyzator, ogłosił w r. 1939 małą rozprawkę, w której zaleca i wyjaśnia metodę łatwej nauki języka chińskiego, wynalezioną przez Domana Wielucha, pierwszego polskiego autora i wydawcę słownika chińsko-polskiego.

Wybór liryków chińskich Jana Wyplera*) zaopatrzone jest w krótki, niezbędny dla ogółu czytelników komentarz, który wprowadza w istotę języka chińskiego i trudności czyhające na każdego indoeuropejskiego tłumacza wytworów tego języka, kreśli związała, ale bardzo instruktywną, charakterystykę liryki chińskiej i podaje najpotrzebniejsze wiadomości o sześciu poetach. Najsilniej reprezentowana jest liryka Li Tai Po i Tu Fu, dwóch spośród

*) Wiersze chińskie. Tłumaczył z oryginału Jan Wypler — Z ilustracjami — Katowice. Na prawach manuskryptu — ilustracje i tekst wykonał Janik Zygfryd, Ochojca. Copyright by Jan Wypler, Katowice (Poland).

Dla polskiej ludności Prus Święta Lipka zachowała mimo wszystko urok swojskości, nie wyłączając mazurskich protestantów, którzy ściągali tu masowo na odpusty, a w dniu św. Piotra i Pawła zwykli zamawiać słynne „msze mazurskie“ za dusze zmarłych, jako że im tego nabożeństwa nie dostawało we własnym obrządku. Do r. 1914 proboszczowali tu Polacy i Polacy nadawali ton, ale gdy ostatni proboszcz ks. Nuzkowski spoczął na cmentarzu kościelnym, niemczyzna zaczęła się wciskać i wypierać polski wpływ. Mimo to jeszcze w r. 1938 — jak notuje pedantyczny autor — „w niektóre dni (miały miejsce) polskie kazania po mszy o 8.30“. Zacierają się ślady żywej polskości, ale „mowa czasów i budowniczych“ pozostała żywa i nieodmienna.

IV.

Kiedyindziej można by zatonać w Świętej Lipce w pasjonującym zajęciu odkrywania najdrobniejszych nawet śladów polskiej ręki



trzech najwybitniejszych poetów z czasów dynastii Tang, okresu złotego liryki chińskiej. Zwłaszcza twórczość Li Tai Po, poety-wędrowca, który w momentach upojenia winem i płodną bujnością przyrody przeżywa mistyczne zespolenie się z duszą świata, zajmuje sporą część zbioru: na 42 wiersze 13 jest autorstwa tego poety.

Wszystkie wiersze wyboru są filologicznym przekładem inicjatora książki, ale jeżeli chodzi o ich ostateczną formę artystyczną, tylko pięć wierszy jest autorstwa Wyplerowego w swej ostatecznej redakcji; reszta to przekłady innych tłumaczy: Aleksandra Widery, Wilhelma Szewczyka, Emanuela Imieli, Zofii Madejowej oraz Michała Cuberta. Tłumacze ci mieli nad wyraz trudne zadanie do wykonania, bo język chiński, monosylabowy i niefleksyjny, nie da się bez reszty przełożyć na żaden język indoeuropejski czy semicki. Tłumacze nie znający języka chińskiego korzystali z mniej więcej dosłownego, pod względem artystycznym nieadekwatnego przekładu Wyplera i, nie znając całej utajonej muzyki oryginału, musieli odgadywać podskórny nurt i trudno uchwytny nastrój wiersza chińskiego. Te parafrazy motywów chińskich nie zawsze mogły być odgadnięciem szczęśliwym. Nie jestem znawcą języka i poezji Chińczyków, nie mogę więc ocenić, które z przekładów zbliżają się do ideału kongenialnego tłumaczenia. Oceniając po prostu samą wartość poetycką wierszy, można stwierdzić, że niektóre z nich, zwłaszcza przekłady Szewczyka i Widery, to osiągnięcia dobre, świadczące o poczuciu stylu utalentowanych tłumaczy. Niewielki stosunkowo wybór wierszy wprowadza jednak dobrze czytelnika w świat poezji Kraju Środka. Wiersze te mówią o ci- chym smutku i subtelnej radości,

o polskiej przeszłości. Wycyzelowana do ostatniego sprzętu przystań polskości nastroczała po temu moc okazji. Cóż, kiedy była to ostatnia stacja przed zaczarowaną krainą „tysiąca jezior“. Czas nagił, a niepokój rozpraszał uwagę. Z nad żółtej książeczki, po przez półkula barokowych okien kościelnych czy uciekały ku zamazanej sylwetce lasu, który parował niczym olbrzymi wyszczerbiony kocioł.

Przed wieczorem zachmurzone niebo uniosło się nieco w górę i słaby podmuch wiatru wpadł w zadeszczoną kotlinkę. Z wolna przestawały dymić lasy, a szarość chmur mieszać się poczęła z rzadkim seledynem nieba, jak podbłęta wodą farbą. Odetchnęliśmy swobodniej.

Przed kolacją plątałem się po miniaturowej wsi, w której pięćdziesiąt lat temu nie mówił nikt po niemiecku i w obcej mowie porozumiewałem się z mazurskimi dziećmi. Nosiły one „echt“ germańskie imiona, ale oczy mia-

ły po polsku niebieskie, włosy koloru lnu, a wymowę nieporadnie miękką, i filuternie nie niemiecką.

Ale wzrok uciekał nieustannie ku niebu i z niepokojem obserwowały narastanie i zanikanie seledynowych szpar w oponie chmur.

Wieczorem zapadła decyzja.

— Jutro jedziemy do Żądzborka — oświadczył z przekonaniem towarzyszy.

Oznaczało to, że sprawa dalszej podróży rusza z martwego punktu.

Tego wieczora szczerkały do późna narzędzia przy dwóch sfatygowanych rowerach niemieckich, długich, ciężkich machinach o nieprzekonywującym wyglądzie. Te one miały nas wyrwać z świętolipskiego odludzia i umożliwić wybór środka komunikacji. W Świętej Lipce, jak na bezludnej wyspie, o otaczającym świecie wiedziano nie wiele. Co rano przejeżdżał tędy autobus z Olshytna do Reszla, a wracał wieczorem przez Rastembork, gdzie docierał o zmroku i nie miał dalszego połączenia z żadnym innym środkiem komunikacji. Jeszcze gorzej było z Sątopami, nie połączonymi żadną stałą linią z Reszlem.

O Żądzborku opowiadano w Świętej Lipce cuda. Najważniejszą przesłanką dla jej mieszkańców były okoliczności, że można w nim było dostać drożdże i z tego faktu wnioskowali o daleko idących udogodnieniach cywilizacji, jakimi musieli się cieszyć Żądzborczanie. Podobno mieli już regularne połączenie kolejowe, a autobusy i „okazje“ miały być tam częstsze, niż deszcz w Świętej Lipce.

Ostatecznie czterdzieści kilometrów przejażdżki nie było zbyt dużą porcją dzienną. Gdyby nawet opowieści Święto-lipian miały tylko drożdżowo-taktyczne cele, był powód dla którego ciągnęło mnie do Żądzborka. W tym miasteczku, które jak większość pruskich, ma jeszcze drugą mniej popularną nazwę Mrągowo, mieszkał wybitny działacz mazurski i pastor ks. Jan Szzech, który w niejednym punkcie mógł rozjaśnić ciemne dla mnie strony zagadnień mazurskich.

Wieczór ten nie był spokojny. Po wiele razy wyglądałem przez okno, wypatrując gwiazd i niepokojąc się o pogodę. Gdy zaś przyszedł czas spoczynku, lekkim zwiernym sen płoszył się z każdym donośniejszym uderzeniem zegarów, ustępując miejsce zaostrożonej uwadze. Oczy zwyczajem dnia uderzały co chwila w ciemny prostokąt okna, a słuch przytępiony drzemką nabierał czujności i badał niespokojny czy ciszy nocy nie mać złowrogi plusk. Trwało tak do rana. Gdy świat wysrebrzył wierzchołki drzew i blade światło spadło w miękim odbłasku na kościelny dach, stanąłem przy oknie jakby nie wierząc samemu słuchowi. Dachy były jednak na prawdę matowe, a w miejscu wczorajszych kałuż nie błyszczały żaden świetlny refleks. Z ulgą stwierdziłem, że dzień zapowiada się pogodny. Półkula nieba, zapadając daleko za lasem, szarzała w półmroku tak wysoko, że aż dziwny wydawał się brak gwiazd i księżyc. Uspokojony w obawach, wróciłem do łóżka. Twardy, głębokim sen zmorzył mnie, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki.

Nadchodzący dzień zdawał się nieść odprężenie. Stefan Sulima

(W następnym numerze drukować będziemy ostatni rozdział mazursko-warmińskiego cyklu Stefana Sulimy „Ziemia odnalezionych przeznaczeń“).

(Dokończenie na str. 6).

kszość wierszy zbioru Wyplero-
wego nie była dotychczas tłuma-
czona na język polski, wiele z
nich nie było tłumaczonych na ża-
den język europejski. Dzięki
współpracy Janika i Matuszka
„Wiersze Chińskie“ stanowią ra-
rytas dla bibliofila. Świadczy o
kulturze regionu śląskiego i mia-
sta Katowice fakt, że mogło tutaj
dość do skutku tak piękne dzieło
ofiarnego wysiłku kulturalnych
ludzi.

Z wyplerowych przekładów z
literatury polskiej na język nie-
miecki znam tylko przekład
„Hymnów“ Kasprowicza*). Kato-
wicki tłumacz starał się w języku
niemieckim możliwie najwierniej
oddać rytm, zmiany toku rytmicz-
nego wspaniałych poematów Kas-
prowicza, pierwotną moc jego
słowa i jego formę dźwiękową,
obrazowanie poetyckie, podział na
jednostki treściowe i nastrojowe
i rymikę. Cel swój osiągnął, w
czym pomocną mu była jego
świetna znajomość języka nie-
mieckiego. Orgię fantastycznego
obrazowania, które często przy-
biera charakter apokaliptycznej
wizji, i potężny ładunek uczucio-
wy polskiego poety potrafił śląski
tłumacz na ogół przetransporto-
wać na język obcy i niesłowiań-
ski. Swoisty charakter niemiec-
kiej mowy oraz jej dynamika wy-

szły z tego przekładu obroną
ręką, a czytelnik niemiecki może
sobie wyrobić trafny pogląd na
piękno i moc polskiego oryginału.
Tłumaczenie Wyplera, poprzedz-
one dobrą zwięzłą charakterystyką
twórczości Jana Kasprowicza do
„Księgi Ubogich“ włącznie, jest
tłumaczeniem wzorowym. Prze-
kład z roku 1938, w książce opra-
wionej na modłę chińską, jest
drugą poprawioną redakcją prze-
kładów z lat: 1920—1923, które
ukazywały się kolejno w czaso-
piśmie „Most“, które Jan Wypler
redagował w celu poinformowa-
nia w szkole niemieckiej wycho-
wanych i kulturalnie zniemcz-
onych rodaków śląskich o polskiej
tradycji kulturalnej oraz osią-
gnięciach polskiej literatury.

Wybór myśli metafizyka i mi-
styka chińskiego Czuang-dze**)
zapoznaje inteligentnego czytel-
nika z poglądem na świat Czuang-
ga na tle poglądów Konfucjusza,
Lao-dze, altruistycznego pozyty-
wizmu chińskiego Sawanaroli:
Mo-ti oraz poglądów sofistów
Państwa Środka. Mam zastrzeże-
nia co do technicznej konstrukcji
tej książki Wyplera, ale muszę
uznać jej rzetelną wartość my-
ślową. Polski historyk i komen-
tator kultury i myśli chińskiej

*) Jan Kasprowicz: Hymn — Aus dem
Polnischen von Jan Wypler — Freunden
und Gönnern der Dichtungen Jan Kas-
prowicz's gewidmet — Katowice 1938.

**) Jan Wypler: Czuang-dze — Myśli
wybrane — Przekład z oryginału chińskie-
go z wstępem, komentarzem i rozpra-
wką: „Tschuang-tse lebets- und seelenkund-
lich gesehen“ Katowice — Nakładem Ty-
godnika „Kuźnica“, r. 1937.

sięga tutaj — w swych dwóch
rozprawkach o Czuangu i jego
epoce — w głąb problematyki du-
szy i filozofii chińskiej i zarazem
zasadniczej problematyki życia w
kulturze i naturze, która i nas,
Europejczyków, do żywego poru-
sza. Zachodniemu kultowi tech-
niki i produkcji oraz zachłanności
w „opanowywaniu“ i... gwał-
ceni przyrody przeciwstawia
wschodnią zgodę z przyrodą, zdol-
ność i dążność do życia w przy-
rodzie. W rozprawie niemieckiej
porównywa myśl chińskiego mi-
styka z niektórymi poglądami
europejskich krytyków, buntow-
ników i gromicielei naszej inte-
lektualistycznej i technicznej kul-
tury. Ten wybór myśli Czuanga,
wraz z rozprawami tłumacza —
polską i niemiecką — o roli mędr-
ca chińskiego i jego problematyce,
jest pozycją dodatnią w naszej
literaturze nie obfitującej w dzie-
ła na temat problematyki życia
i kultury. Można zdecydowanie
odrzucać panteizm i animizm
chiński; można się zżymać na
orientalny kwietyzm taoizmu,
którego mądrością zdaje się być
ucieczka od działania i walki.
Trzeba jednak przemyśleć obie
możliwe postawy; trzeba się roz-
prawić z problematyką celu na-
szego życia i naszego stosunku do
przyrody i kultury. Przy przy-
swojeniu zaś językowi naszemu
wyjątków z dzieła mistyka chiń-
skiego, który był wielkim poetą

i świetnym stylistą, Jan Wypler
przyczynił się do pogłębienia na-
szej kultury literackiej.

Przyczynki do historii rodu Wy-
plerów (z r. 1936) to praca oparta
na gruntownym i krytycznym
opracowaniu źródeł. Stanowi war-
tościowy przyczynek do historii
stosunków gospodarczych, spo-
łecznych i kulturalnych na Gór-
nym Śląsku i jest pracą z zakresu
historii rodów i rodzin. Zyskała
uznanie krytyki historycznej w
Niemczech, Czechosłowacji i Au-
starii.

Habent sua fata libelli. Zwią-
szcza książki polskie doznawały
przypku zmienności losu w czasie
ostatniej wojny. Wiele książek
już zrealizowanych zostało spal-
onych i w inny sposób zniszczo-
nych przez Niemców; wiele rękopi-
sów i maszynopisów całkiem
gotowych do druku zaginęło w za-
wierusze wojennej. Niejedna po-
ważna praca naukowa polska
i dzisiaj jeszcze nie może się
znaleźć za wityną księgarską.
Jan Wypler ma gotową obszerną
pracę o poglądach mędrca
starych Chin Loa-dze, bogato
ilustrowaną charakterystycznymi
wyjątkami z jego dzieł. Wielu
wprawdzie uważa, że wydawanie
tego rodzaju książki u nas, dzi-
isiaj, byłoby zbyt i niewątpli-
wie, w naszej obecnej sytuacji,
druk dobrych podręczników dla
szkół powszechnych, zawodowych
i średnich ogólnokształcących na
pierwszym planie stać powinien.

Niemniej jednak takie „zbytkow-
ne“ książki czasem ukazywać się
powinny, a istnienie u nas ludzi,
którzy się tak niepopłatnymi stu-
diami zajmują i z dążenia do po-
głębienia nurtu kultury rodzimej
nie rezygnują, jest dowodem na-
szej tężyzny kulturalnej. Od Wy-
plera można oczekiwać pracy o
myśli chińskiej w rozwoju dzie-
jowym. Dzisiaj narody azjatyckie
dochodzą do głosu i sama znajo-
mość stosunków europejskich
nam już nie wystarcza. Autor
przekładów utworów literatury
polskiej na język niemiecki jest
także dobrym znawcą literatury:
niemieckiej, francuskiej i angielskiej
i przez kilka lat pisywał
krytyki literackie i recenzje tea-
tralne, do pism polskich i nie-
mieckich. Od niego oczekiwali-
byśmy dobrych przekładów poe-
zji Tuwima, Lechonia, Miłosza,
Czechowicza, Bąka, Piechala, Bre-
niewskiego, Jastruna i in. współ-
czesnych poetów na język nie-
miecki, gdybyśmy wydawali w
Berlinie polskie pismo w języku
niemieckim dla Niemców. Jan
Wypler jest bowiem doskonałym
pośrednikiem kulturalnym.

Zdzisław Obrzud.

Regionalizmy śląskoczeskie

Ruch kulturalny tak na czeskim Śląsku,
jak i w sąsiadującym kraju ostrawskim,
o którym parokrotnie pisaliśmy już na
łamach „Odry“, stale się rozwija i przybiera
na siłach. Daje się tu poznać regional-
izm literacki: po poprzednich po-
wieściach, o których już pisaliśmy (Lud.
Horkej i innych) wyszły ostatnio dwie
godne uwagi powieści śląskie: A. C. Nora
„Prziszel den“ (Praga 1946) i V. Prokupek
„Ztracena Zem“ (Brno, wydawnictwo Koła
Pisarzy Morawskich, 1946). Nor, rodak
z Kyleszowic koło Opawy, na tle akcji sku-
pionej dookoła bohatera powieści Hanysa
Kałuży, przedstawia całe dzieje śląskiej
wsi w jej przełomowych latach aż do oku-
pacji niemieckiej w r. 1938. „Prziszel den“
ma być pierwszą częścią zapowiadanej
trylogii. Do powieści załącza Nor dłuższy
dodatek, obejmujący skrót zasadniczych
wiadomości, dotyczących śląskiej wsi. Po-
wieść swą pisał autor w czasach okupacji,
ale rękopis szczęśliwie uchował się scho-
wany do czasu wyzwolenia. Druga powieść
Prokupka „Ztracena Zem“ ma za temat
zagadnienie hulczyńskie, zagadnienie tej
ziemi, która przez tyle lat przechowała swą
czeskość (morawskość), ale uległa duchowej
germanizacji właśnie w latach intensywnej
propagandy hitlerizmu, w latach poprze-
dzających przełom 1938 r. Problem hul-
czyński do dziś dnia żywy jest w Czechach,
nie schodzi on ze szpalt prasy, która wciąż
zastanawia się, czy tych wszystkich mieszk-
kańców hulczyńskiego, którzy acz byli po-
chodzenia czeskiego i nie raz mówili nawet
po czesku, to jednak opowiedzieli się za
Henleinem i przyjęli listę niemiecką, na-
leży uznać za volksdeutschów i wysiedlić,
czy też dać im możliwość rehabilitacji.
(Godna pod tym względem była parę mie-
sięcy temu polemika na łamach tygodnika
„Svobodny Zitrzek“, w której obrońcy Hul-
czyńskich zwracali uwagę na okólnik lan-
drata z Raciborza z czasów wojny, w któ-
rym zwraca on uwagę, że mieszkańcy Hul-
czyńskiego mówią po czesku) problem ten
nie obcy jest i literaturze. Prokupek nie
jest Ślązakiem, jest przybyszem, ale tym
nie mniej umie bystro podpatrzeć miej-
scowe stosunki. Krytyka podkreśla, że
„Ztracena Zem“ jest raczej wielką skargą
niż powieścią, mimo, że stara się o powie-
ściową formę, pod którą przedstawia tra-
giczne losy tej „straconej ziemi“. Zaintere-
sowanie literackie Śląskiem przejawiało
i Morawskie Koło Pisarzy w Brnie, które
zaofiarowało Krajowej Radzie dla spraw
kultury swą współpracę w czynności oświa-
towej na Śląsku. Mają być zorganizowane
w rozmaitych miejscowościach Śląska Cze-
skiego wieczory literackie, na których

przedstawić się mają publiczności następu-
jący pisarze: V. Martinek, Milan Rusinsky,
Mirek Elpl, V. Prokupek (autor wyżej
wspomnianej powieści o kraju hulczyń-
skim), J. Urbankova, J. Spacil, Fr. Smeja
(autor kiedyś już przez nas tu omawianej
powieści z życia śląskiego) i inni.

Rozwija się obok tego i regionalizm
etnograficzny, dążący do zachowania
zabytków ludowej pieśni, strojów, czy
budownictwa. Przy okręgowej Komisji Pla-
nującej Krajowej Rady Narodowej w Ostra-
wie została powołana do życia — jak donosi
„Prace“ z 8 sierpnia — komisja etnogra-
ficzna, która chce „związać dotychczasową
działalność na polu zbierania i konserwacji
kultury ludowej poszczególnych jednostek
i rozmaitych zrzeszeń i uczynić przegląd
całej dotąd wykonanej pracy, rozwijając
równocześnie działalność zmierzającą do
odnowienia ludowych strojów i ożywienia
starych pieśni, tańców i obyczajów“. Pod-
kreśla się, że zachowane są dotąd w pa-

mięci dni wałaskie urządzone przy muzeum
na świeżym powietrzu w Roźnowie, kulty-
wowanie starych zwyczajów i strojów
wałaskich przez grupę frensztacką, święta
stroju ludowego cieszyńskiego urządzone
w r. 1923 w Jabłonkowie i w latach 1894
i 1937 w Orłowej. W kraju ostrawskim jak
i wałaskim jest cały szereg zbieraczy, któ-
rzy pozostawili dużo materiału, mogącego
praktycznie być wyzyskany przy urzą-
dzeniu rozmaitych przedstawień, widowisk,
uroczystości itd.

Rusza też powoli i regionalizm
naukowy, aczkolwiek sprawa mającego
powstać instytutu naukowego wciąż jest
w toku przygotowań. Pierwotnie miało to
być zrzeszenie pracowników naukowych,
obecnie zdaje się, że „Śląski Instytut Stu-
diów“ będzie instytucją badawczą, wy-
łonioną przez ekspozyturę Krajowej Rady
Narodowej. Jak wszakże donosi morawsko-
ostrawska „Czeskoslovenska Demokracie“
z 27 września, nie ma dotąd decyzji, gdzie

ma się mieścić ten instytut, czy w Opawie,
czy w Ostrawie, chociaż ta sprawa wy-
dawała by się zupełnie prosta. Instytut ma
się dzielić na dwa oddziały: kultury du-
chowej i techniczno-gospodarczej. Ponieważ
Opawa ma bibliotekę okręgową, która by
mogła być podstawą do studiów o ducho-
wej kulturze Śląska, zatem tam winien
mieścić się wydział kultury duchowej, pod-
czas gdy wydział techniczno-gospodarczy
musiałby się mieścić w Ostrawie, ze względu
na bibliotekę tamtejszego muzeum tech-
niczno-gospodarczego. Dziennik podkreśla, że za sprawy
umieszczenia Instytutu „nie powinna wy-
niknąć kwestia prestiżowa między obu
miastami. Ostrawa musi zrozumieć, że tak
jak niezdrowy jest potępiany centralizm
praski, tak samo nie może być tolerowany
centralizm ostrawski“. Sprawa Instytutu nie
jest sprawą kilku mieszkających w Ostra-
wie osób, ale sprawą całego Śląska.

Z wydawnictw naukowych o Śląsku na-
leży wspomnieć o dwóch księgach zbioro-
wych, wydanych przez Maticę Opawską
jako I i II tomie „Biblioteki Śląskiej“:
pierwszy nosi tytuł „Ślesko, czeski stał
a czeska kultura“ (dzieło zbiorowe, auto-
rowie: Raczek, Czada, Vilikowsky, Vasicz,
Fischer, Grunda i inni), drugi tom jest
również dziełem zbiorowym, poświęconym
ziemi Głubczyckiej, Raciborskiej i Koziel-
skiej; piszą tu: Perich, Sobotik, Rusinsky.
Tenże Rusinsky wydał w wydawnictwie
Svet w Ostrawie, w serii „Śląska Rola“
tomik szkiców z dziejów kultury (czeskiej)
na Śląsku pt. „Kapitolky ze Slezska“; pisze
tu o znajomości czeskiego hymnu narodo-
wego na Śląsku w połowie XIX wieku,
o pierwszych pismach czeskich na Śląsku
(były nimi „Holubice“ Leika w 1846, a po-
niej dopiero „Opavsky Besednik“ Vaska
w 1861), o stosunku Nerudy do Śląska
i o Bezruczu.

Jan Reyhman.

NAGRODY ZIEMI ŚLĄSKIEJ

28 października udzielone zostały arty-
styczne nagrody ziemi śląskiej. Nagrodzeni
zostali pisarze: V. Martinek za książkę
„Kamenny rad“, Fr. Smeja za książkę „Po-
trishnena tvar“, V. Zavada za zbiorek poezji
„Hradni vez“. Następnie malarze: V. Wun-
sche za obrazy z życia górniczego, V. Drz-
kovic za obraz „Hařdy“. Z muzyków otrzy-
mał nagrodę prof. Jan Soupal za działal-
ność jako dyrygent w Związku Śpiewa-
czym Morawskich Nauczycieli, następnie
J. Myron, reżyser w teatrze ostrawskim,
za naukowe dzieła, prof. A. Cervenka za
dzieło „Za cernym kamenem“ i dr A. Tu-
rek za pracę „Fulnecko“; za działalność
na polu oświaty ludowej R. Tlapak i J.
Hrbac, bibliotekarz biblioteki miejskiej w
Ostrawie. Następne nagrody udzielone bę-
dą 9 maja.

jr

Niemcy o sobie

ERICH KAESTNER

Znaszli ten kraj, gdzie armaty kwitną...

Znaszli ten kraj, gdzie armaty kwitną?
Nie znasz, ale wkrótce słowom mym dasz wiarę:
patrz, prokurzyści z miną zadzierzyszą, szczytną
przebiegają w tym kraju biura jak koszary.

Pod krawatami rosną guziki kaprala,
a nad czolami helmy niewidzialne lśnią,
nocą zaś człek bezgłowy w łóżku się rozpala,
aby nowymi ludźmi zapełnić swój dom.

Kiedy szef ci życzenia swe objawi ostro,
stań na baczność szczęśliwy, rozpogodź swą twarz;
szef musi rozkazywać — ty z twarzą radosną
musisz słuchać. Więc prostuj się! Na prawo patrz!

Dzieci na świat z ostrogą przychodzą co chwila
i lyse główki równy przedziałek im zdołi, —
za nic kobieta na świat nie wyda cywila.
Zaś kto milezy, na awans w lot zasłużył sobie.

Znaszli ten kraj? O, jakżesz tęsknią tu za szczęściem —
człowiek pilny i silny, krew gorącą czując,
ledwo wśród miast, łąk, fabryk trochę się pokręci,
już by rad trochę szczęścia innym ludziom ująć.

Czasem i duch przemierza te krainy żyzne
i o męstwie nielicznych sława na świat bieży, —
cóż, gdy dziecko w każdego wstąpiło męczyznie,
co zbyt chętnie w cynowych bawi się żołnierzy.

Tu nie dojrzeje wolność, nie wierz prac rytmom,
cokolwiek by budowali — wyrosną koszary.
Znaszli ten kraj, mój miły, gdzie armaty kwitną?
Och, poznasz go, a wtedy słowom mym dasz wiarę.

Z niemieckiego spolszczył Jacek Brzym.

Powrót

Gdynia, styczeń 1947.

Wszyscy wylegli na pokład. Radość ciśnie się na twarze. Cel swojej podróży już widzą. Niektórzy pędem lecą przygotować się do zejścia, chociaż jest jeszcze więcej niż dwie godziny drogi. Już widać smugę białego piasku, gdzie nasza elita wylegiwała się po swoim trudzie. Więcej jej tu nie będzie, tu będzie miejsce na wywczasowe letnie dla ludzi uczciwej pracy, by nabierali sił do dalszej. Widać ciągle zagłę kutra, napewno to nasz polski. Wszyscy wzruszeni kręcą się po pokładzie. Nie uronią niczego, pieszcą wzrokiem linijkę ładu, o którym śnił po nocach. Widać dwa wraki, jeden niski wojenny, dziób drugiego sterczy wysoko ponad wodą. Jesteśmy na trawersie latarni okolonej drzewami. Z wody wychodzi żółty piaseczek. Latarnia stoi na wzniesieniu piaszczystym. Polka z Anglii Gdynianka, mówi sama do siebie.

— Tu mój mąż bił się. —

Stojący obok spojrzeli na nią, głębiej odetchnęli i znów patrzą na ład. Milczeniem jej współczują. Słońce świeci od dziobu, oślepia blaskiem krzysztalków lodu. Na przednim sztagu z lodu zrobiła się piła, jak na łodzi podwodnej, tylko zębami w dół. „Autobus X Rey” jest cały w powłoce lodu. Marynarze kruszą lód na brezenie okrywającym windę kotwiczną, czyszczą dziób z lodu, przygotowują się do zacumowania. Zmieniliśmy kurs prosto na Hel. W zatoce przy brzegu półwyspu widać kilka sylwetek, wygląda jakby pływający dok podnosił statek z dna. Znów widać wraki.

Jesteśmy mniej niż milę od latarni. Gdzie niedziedzie kaszubskie chce, bielone wapnem. Na samym cyplu z dziobem na piasku, widać rdzawy kadłub frachtowca. Za nim czerwone dachy domków osady helskiej, a w tyle hen białe domki Juraty. Wszystko okolone białym piaskiem i zielenią sosen wygląda egzotycznie. Gdyby nie mróz, zdawałoby się że to laguna z morz południowych. Przechodzimy obok chorągiewek, postawionych sieci. Dzielnicy nasi rybacy.

Idziemy w zatoce. Na pokładzie słychać tylko jeden wyraz Gdynia — tak, to już Gdynia. Jak przed wojną kilkanaście statków stoi na redzie. Wysunięta wysoko Kępa Oksywska, tu nasi marynarze stanęli do ostatniej walki o honor. Nasz maleńki Sewastopol. Z portu wychodzi dymiący amerykański „Liberty”, przechodzi obok nas. Znów wraki z czopami białego lodu na wantach i masztach. Na Oksywiu bloki Marynarki Wojennej. W porcie wieża mostku z licznymi pomostami, wygląda jak pancernika, dalej statki i krany. Pokazują się łamacze fal na cyplach. Wysoki brzeg Orłowa jest w złotej mgiełce. Bohaterskie Orłowo, tu Niemcy dobrze placili za każdą piędź ziemi. Stateczek nasz rzuca kotwicę, podaje głos syrena, czeka na pilota. Blisko nas stoi rdzawe pudło fińskiego frachtowca. Setki mew szubuje wokół. Przyglądają nam się, czyżby poznały, żeśmy do nich przyplęnęli. Po słonecznej stronie jak kaczkę na wodzie — kąpią się, podobne do naszych jarzębatych kur, toż to już wszystko nasze. Z motorówki przyszedł pilot, pierwszy Polak z Kraju.

Wchodzimy do portu. Przy kesonie od wewnętrznej strony leży kieszonkowy pancernik, to Gneisenau. Niemcy go zatopili w samym przejściu, by zakorkować port. Dużo wysiłku musiało koszt-

Tysiące Polaków wraca do kraju — Morze wyrzuca na odzyskany brzeg ojczysty najmiłszy dar powojenny: braci stęsknionych

tować odwiecenie go na stronę. Pozostała z niego kupa szmelcu i rdzawego żelastwa. Podobny jest do dzisiejszych Niemiec. Od strony Oksywiu dwie sowieckie pogłębiarki pogłębiają dno. Z nad brzoza przyglądają nam się robotnicy. Mijamy wrak. Zapuszczony piękny dworzec morski wygląda jak barak, stoi jednak cały. Przechodzimy w głąb basenu, obok odwiezionego wraka. Holownik spycha do nadbrzoza obok łuszczarni ryżu wielki frachtowiec, który przywiózł ładunek z dalekiego świata. Nad nim biała się w śniegu pagórki oksywskie. Pogoda jest piękna, czysta, mroźna od mglistej angielskiej. Podchodzimy do nadbrzoza, na którym podają tłumek ludzi wciąż za idącym statkiem, wszyscy przyglądają się burcie oblepionej pasażerami, chcą poznać drogą twarz dla siebie. Widać Polaków żołnierzy. Tłumek ubrany jest bez elegancji angielskiej, ma twarde twarze, tak drogie dla nas. Oni wytrwali w kraju, a my ciągniemy z lepszych stron. Widać dużo rosyjskich butów z cholewami i kożuszków, noszonych przez mężczyzn i kobiety. Z pepesami chodzą nasi milicjanci, dwudziestoletni chłopcy. Serce rośnie patrząc na nich.

Przedstawiciel Rządu wita zebranych pasażerów wokół drugiego łuku. Proste, szczere, gorące słowa. Polska żąda od wszystkich uczciwej pracy, dając twarde życie. To streszczenie jego słów. Polak emigrant z Francji dziwnie odpowiada, słowa jego są apostrofą do Ojczyzny. Kiedy skończył, ślubujemy że wypełnimy wszystko, czego żąda od nas Polska. Ktoś śpiewa Rotę. Podchwytną wszyscy. Obnażają się głowy. Rozległ się śpiew serc i miłości dla Ojczyzny. Przycichł — na twarzach najwyższe wzruszenie radości, która tak weszła, że dławi bólem. Niektórym krtanie drzewieją, nie mogą wydobyć głosu. Młoda piękna dziewczyna wybuchła spazmami szlochu. Wszyscy śpiewają i płaczą, jedni łzami, drudzy radosnym cichym płaczem

serca. Śpiew serc czysty jak iza sieroty, która odzyskała dom. Silniejszy nad życie i śmierć. Piękny i wieczny jak ta ziemia. Zupelne zbratanie — równość. Nowa Polska. W sercach ciche tętno bohaterów silniejsze od najtwardszej stali. Warto żyć, by raz tylko śpiewać taką Rotę. Kiedy śpiew ucichł, nastąpiła cisza, której nikt nie śmie przerwać. Pierwszy włożył czapkę na głowę przedstawiciel Rządu, za nim inni.

Idą wszyscy do kabin przygotowujących się do zejścia. Urzędnicy sprawdzają listę przyjezdnych. Każdy potrzebuje dwie fotografie. Trzech młodych fotooperatorów robi je na poczekaniu. Jeden świeci lampą, drugi pisze nazwiska, a trzeci najmłodszy piętnastoletni chłopak, mruży oko i strzela zdjęcia.

Urzędnicy po załatwieniu formalności z kapitanem statku, zaczynają zdejmować Polaków. Najprzód idą pasażerowie, potem repatrianci. Marynarze ciągną bagaż windą z pierwszego łuku. Wszyscy schodzą długą linią, udając się do nadbrzożnego hangaru. Ciepłe, wygodne pudełeczko stateczka opróżniło się. Stewardessy Szwedki żegnają niektórych uśmiechem więcej niż ludzkim. Dobre panny. Marynarze przyglądają nam się z swoją dziecinną prostotą.

W hangarze jest rojno od czekających na swych najbliższych. Szybko wszyscy dostają dokumenty i jedzą pierwszą polską strawę, grochówkę i czarny chleb. Odnajdują się rodziny, znajomi. Na męża czeka już trzy dni żona z synem. Ojciec nie może poznać syna — chłop wyrósł jak dąb, a takie maleństwo było jak musiał go opuścić. Klepie go po barach i uśmiecha się z dumą. Dostają bilety. Późną nocą jadą do swoich gniazd rodzinnych, skąd byli wyrzuceni brutalną siłą, lub sami ulecieli dla kontynuowania walki bez pardonu. Tacy powracają jak zwycięzcy. Ci, którzy utracili je, jadą budować nowe.

Jan Papuga.

Książka Ziem Odzyskanych

Kalendarze dla Mazurów i Warmiaków

Nakł. „Instytutu Mazurskiego”.
Olsztyn 1947, str. 93, dwie wkładki

Na skromnym, wysuniętym szancku, jakim był teren t. zw. Działdowszczyzny do 1939 roku, ukazywał się co roku „Kalendarz dla Mazurów”, przeznaczony dla Polaków, mieszkających za koronem. O wydawaniu takiego kalendarza, — mało kto w Polsce wiedział. Mało kto też zdawał sobie sprawę z tego, że był to jeden z niewielu środków oddziaływania kultury polskiej na tych, którzy do polskości ukradkiem lub półjawnie się przyznawali wobec szalejącego terroru germanizacyjnego“.

„Kalendarz dla Mazurów” wydawany corocznie w Działdowie był więc jednym z nielicznych ambasadorów polskości na ziemach warmijsko-mazurskich. Kalendarz dla Mazurów konkurował z kalendarzami niemieckimi oraz z czasopismami tego typu co „Unser Mazurenland“ lub „Unsere Heimat“, do których pisali nie tylko renegaci mazurscy, ale nawet profesorowie królewieckiego uniwersytetu. Prawda zawarta w „Kalendarzu dla Mazurów“ przeciwstawiała się autorytetom i głosom renegatów z osławionego „Masurenbundu“ z Maksem Worgitzkym na czele.

Dziś „Instytut Mazurski” nawiązał do 16 roczników kalendarza wydawanego dla ludności polskiej b. prowincji wschodnio-pruskiej. Wydany tom na 1947 rok swym poziomem graficznym wskrzesza najlepsze tradycje roczników wydawanych przed wojną. Dobry satynowany papier i liczne ilustracje są świadectwem wysiłku redakcji, która nie lożyła trudu, aby zewnętrzna strona wypadła jak najlepiej. Nie można też nie wspomnieć o stronie wewnętrznej, o treści kalendarza. Artykuł p. t.: „Nasi przodkowie Słowianie“ Emilii Biedrawiny nawiązuje do historycznych faktów naszej przeszłości. Uczczenie bohaterów warmijsko-mazurskich na stronach kalendarza oraz przypomnienie Mazurów polskości Mikołaja Kopernika należy do b. udanych. Nie mniej interesujący jest artykuł o „sztuce ludowej“ H. Skurpskiego jak i cały szereg innych większych lub mniejszych artykułów, przypominających czytelnikowi opowieści, przesady, i humor mazurski, zaczerpnięty wprost od ludu. Całość układu przeplatana jest autentyczną poezją ludową, wśród której widnieją nazwiska: Kajki, Samulowskiego, A. Upadka, S. Lipki, T. Zimki, M. Zientarówny i innych.

Oddając do rąk ludności autochtonicznej „Kalendarz“ dla War-

miaków i Mazurów należy sądzić, że odegra on swą rolę. Przybliży duchowo tę ludność do nowej Polski, tak często odmiennie wyobrażonej sobie przez ludność autochtoniczną. Gdy ten moment psychiczny choćby w części zostanie usunięty, — rola kalendarza nabierze nowej istotnej treści, odmiennie od tej, jaką poszczególne roczniki spełniały do wybuchu wojny. Jerzy Antoniewicz

Barycz o Uniwersytecie Wrocławskim

Henryk Barycz: Uniwersytet wrocławski w przeszłości i teraźniejszości. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice 1946. Str. 32. Niewielka książeczka omawia może trochę zbyt zwięźle, ale na ogół wystarczająco dzieje wszechnicy wrocławskiej. Dzieli je autor na 4 okresy: 1) nieudana próba rady miejskiej Wrocławia stworzenia własnej wszechnicy (1505 r.). 2) okres jezuickiej akademii Leopolda Leopolda I, który w 200 lat później zezwolił na zamianę dotychczasowego kolegium, obejmującego studia niższe, na uniwersytet, 3) okres pełnego już, nawet 5-cio wydziałowego uniwersytetu pruskiego, powstałego przez złączenie 4-wydziałowego frankfurckiego z dotychczasowym, dwuwydziałowym wrocławskim. Jednakże dopiero od r. 1870 zaczyna się na uniwersytecie wrocławskim prawdziwie naukowy ruch. Pojawiają się uczeni sławni w całych Niemczech i pisarze, zajmujący produkujące stanowiska. 4) Choć czwarty okres, powojennego polskiego uniwersytetu jest jeszcze zbyt krótkim, zajmuje jego omówienie kilka stron pracy autora. Uniwersytet ma zapewniony stały i to tak szybki rozwój, że opis jego nie może za nim nadążyć.

Ten odcinek dziejów oświaty na Śląsku jest niestały, a raczej był w małej tylko części polskim. Szczupłość pracy nie pozwoliła prawdopodobnie autorowi wnikać głębiej w przyczyny tego zjawiska. Poprzestaje on tylko na omówieniu tych nielicznych zresztą przejawów polskości wszechnicy, do jakich należałoby przede wszystkim zaliczyć organizację studentów — Polaków. Co do katedr, to nie posiadał uniwersytet wrocławski katedry języka polskiego, lecz katedrę sławistyki, którą dopiero w roku 1860 otrzymał Polak Wojciech Cybulski. Na utworzenie w jej obrębie osobnego oddziału polskiego nie chciał się rząd pruski zgodzić!

O politycznym znaczeniu uniwersytetu wrocławskiego, zwłaszcza w dobie ostatniej mówi autor trochę za mało! Przecież stworzył on bazę dla niemieczyny w jej parciu na wschód.

Omawiana książeczka, to (o ile mi wiadomo) pierwsza polska próba przedstawienia dziejów wszechnicy wrocławskiej. Należy się spodziewać, że po niej nastąpią bardziej wyczerpujące monografie, podobnie jak to ma miejsce w odniesieniu do innych naszych uniwersytetów.

Mieczysław Woźnowski.

Z książki J. Putramenta „Przeżył iście”



... było już ciemno i chmurno... Obejrzał się. Pusto... Przyspieszył kroku i znów się obejrzał — nie, ktoś jednak żyje, o dziesięć kroków z tyłu idzie inny samotny mężczyzna... (str. 57)

Metoda

Karol Kuryluk jest człowiekiem bardzo poczciwym. Zawsze uśmiechnięty i zawsze grzeczny wszystkim na ogół literatom żyłoby dobrze, a publicystom — najmniej. Publicystyka „Odry“ jest młoda i brak jej czasami tej finezji, którą wychowani na obcych wzorach, publicyści „Odrodzenia“ tak olśniewają naród. Niemniej jest to publicystyka w a z k a, przemawiająca do tysięcy czytelników, wypowiadająca troski, które na łamach „Odrodzenia“ rzadki znajdują przytułek. Dlatego też nie mogą pogodzić z poczciwością Kuryluka pewnej metody, którą od niedawna na notoryczni notatkowicze z ostatniej strony „Odrodzenia“ stosują do „Odry“.

Jest to mianowicie metoda wykpiwania, najczystszej formy, przy równoczesnym przemilczaniu treści. Bednorza styl im się nie podobał, ale o treści zapomnieli. A tymczasem nie styl był rzeczą istotną, lecz treść, która poruszyła jeden z naczel-

nych problemów Ziem Odzyskanych, sprawę niedowiarłków i de fetystów. Ostatnio zauważyło „Odrodzenie“ nowe „oszałamiające zjawiska“ w „Odrze“, pokazane tą samą metodą wykpiwania. Przy czym wodą na młyn notatkowicza z „Odrodzenia“ są także błędy drukarskie, które zdarzają się nie tylko w „Odrze“.

Jest tyle pięknych rzeczy, których „Odrodzenie“ mogłoby się nauczyć od „Odry“. Problematyka polskiego Zachodu więcej jest złożona i bardziej pasjonująca niż wiele innych spraw, które głosi „Odrodzenie“. Kiedy zaś po ważne pismo gwoli bawienia czytelników stosuje metodę wykpiwania publicystów, którzy rzeczy słuszne i piękne głoszą w sposób nie tak finezyjny i arcydoskonalszy, jak publicyści owego poważnego pisma, to nie wszystko jest w porządku. Poza tym dobieranie sobie poszczególnych cytatów bez szacunku dla całości jest może wygodne dla notatkowicza, ale szkodliwe dla prawdy.

Kora

Stypendia

Wojewódzka Rada Kultury w Katowicach, jedyna tego rodzaju instytucja w kraju, przydzieliła ze swojego funduszu stypendialnego stypendia dla studentów śląskich. Skomplikowana struktura ludnościowa ziemi górnośląskiej objawiła się także w geografii stypendystów. Oto ona:

Otrzymali stypendia		
Zaolzianie	18	czyli 11%
Opolanie	7	„ 4%
Górnoślązacy		
(tj. urodzeni na terenie woj. śląsk. a więc niekoniecznie Ślązacy w pojęciu rodowym)		
Zagłębiacy	57	„ 34%
Repatrianci	35	„ 21%
Repatrianci	26	„ 16%
Napływowi sprzed wojny		
Napływowi sprzed wojny	18	„ 11%
Napływowi po wojnie		
Napływowi po wojnie	6	„ 3%

Uderza szczególnie niska grupa stypendystów Opolan - autochtónów. Uwzględnione zostały zresztą wszystkie zdaje się wnioski, jakie pochodzą od Opolan.

Nie pozwala to na zbyt optymistyczne przypuszczenia co do rychłego stworzenia własnej inteligencji autochtonicznej na Opolszczyźnie. Dopóki tego nie będzie miał lud opolski, ród rolników i górników, wciąż będzie się czuł w społeczności polskiej jak grupa ludnościowa drugiej kategorii, co bywa zresztą codzien na Opolszczyźnie podkreślane przez większość przybyłych tam herosów rzeczywistości.

Jadźwing.

Kłopoty szczecińskie

Szczecin, bądź co bądź miasto wielkie i przez Polaków zaludnione obficie, jest miejscem nieustającego kryzysu kulturalnego. To co się w tej dziedzinie w Szczecinie robi, jest stanowczo niewystarczające w stosunku do liczby jego mieszkańców, a także przez swą fragmentaryczność nie posiada większego rezonansu w kraju. Trzech literatów w żaden sposób nie może rozwinąć w stutysięcznym mieście jakiegos życia literackiego, mizerny i działający właściwie wbrew demokratycznej polityce kulturalnej teatr nie wiąże tysięcy ludzi ze sztuką, prasa — wyczerpująca się na dzienniku i tygodniku — z braku odpowiednich współpracowników ani nie ukazuje krajowi wielostronnego i egzotycznego poniekąd obrazu życia w mieście, którego polskość prasa niemiecka określa jako wydmę bieżącej historii.

Czy Szczecin, miasto polskie, będzie istotnie robił wrażenie w wydmie bieżącej historii, to zależy w pierwszym rzędzie od energicznego i wielopłaszczyznowego zorganizowania życia kulturalnego w tym mieście. Wiemy, że jest to także główną troską obecnego wojewody szczecińskiego, który osobiście zamierza życie to zaktualizować. Tak np. pisarze śląscy otrzymali od niego zaproszenie przybycia do Szczecina i zapoczątkowania w ten sposób wymiany — wierzę, że nie jednokierunkowej — osiągnięć, planów, wartości, imprez.

Śląskowi bardzo zależy na tym, by taka wymiana się zawiązała. Chcemy pomóc Szczecinowi, a pismo nasze od początku uważamy także za organ kulturalnego Szczecina. Linia Śląsk — Szczecin jest zresztą linią naturalną a swoje uzasadnienie znajduje już teraz w polityce gospodarczej. Dobrze będzie, jeśli znajdzie je również w polityce kulturalnej.

Uważamy także, że Szczecin bezwzględnie powinien posiadać co najmniej jeden dobry tygodnik. Prawdziwe zwierciadło życia polskiego w mieście i okolicy. Wychodzący tam obecnie „Szczecin” takim pismem orientujemy się z wydanych dotąd kilkunastu podwójnych numerów istnieje on jedynie dzięki uporowi i współpracy kilku publicystów i dwóch lub trzech literatów. Może plany reorganizacyjne, przed którymi stoi pismo, pozwolą mu na stanie się prawdziwym i ważkim organem miasta morskiego Szczecina. **wisz.**

Z wystawy plastyków w Szczecinie



Marcin Tomaszewski: Więzień Nr. 12,741, 250; projekt witrażu — Zenon Kononowicz: Holownik.

Wśród czasopism

Notujemy z przyjemnością oznaki ożywienia w czasopiśmiennictwie na Dolnym Śląsku. Ożywienie to przejawia się różnorodnie a zaczyna się już od takiej pozycji jak **„Dodatek tygodniowy dziennika „Słowo Polskie“** (dawniej „Pionier Dolnośląski“), zatytułowanego **„Zwierciadło Polski i Świata“**, a przypominającego układem i doбором treści jeden z lepszych dziś w Polsce dodatków tego typu, mianowicie dodatek krakowskiego „Dziennika Polskiego”. Dodatek wrocławskiego „Słowa” jest naturalnie utrzymany w bardzo popularnym stylu. Ten styl jest jedynie w tym wypadku właściwy. Jest to „magazyn” o treści różnorodnej, o dużym zainteresowaniu dla spraw kultury, obliczony na najprostszego czytelnika, stanowiący dlań przejście do zainteresowań poważniejszą prasą periodyczną i poważniejszą książką. Dodatek ten świadczy, że „Słowo Polskie” po okresie reorganizacji zaczyna krzepnąć i dochodzi do poziomu

ści panoramę całego Dolnego Śląska, a nie tylko te pięć komińców, dwie wieże szybowe, kilka jakichś innych wraz z kompleksami zabudowań fabrycznych ze szczytem górskim na dalekim tle. To już nie jest winieta dla czasopisma, to cały „malunek” w dodatku w złym guście, na miłą tracący brakiem fantazji, zmysłu estetycznego, umiaru, no i — bardzo przepraszam — prowincja, które to określenie nie powinno mieć przecież zastosowania dla blisko stutysięcznego i mającego poważne ambicje „stolicy przemysłowej” Dolnego Śląska miasta. Z treścią też nie jest lepiej. Pewnie, że z pierwszym numerem takiego pisma nie jest łatwo. Nasze zamięlowanie do oficjalności sprawia, że przy takiej okazji i ten, i ów musi coś napisać, choćby nawet miał niewiele do powiedzenia. Ale też od pierwszego numeru nowego pisma czytelnik zwykły jest czegoś wymagać poza dorywczym zapchaniem jego szpał tym, co się zdołało na-

czaru i osobliwego piękna tej ziemi. Jest nudnym przewodnikiem po okolicy. Wywody wołające o „aktywność kulturalną” są po szkolarzku teoretyczne i niczego w naszej rzeczywistości kulturalnej zmienić nie potrafią. Brak im po prostu praktycznego, realnego podejścia, opartego na podłożu pewnych przesłanek teoretycznych, które jednak musiałyby być bardziej przekonująco sformułowane. To tak z grubsza co do treści. Dalsze artykuły o charakterze informacyjnym są już bardziej na miejscu i bardziej leżą w charakterze tygodnika, ale znów sposób ich ujęcia, sposób, w jaki są napisane, budzi zastrzeżenia. To już wina redakcji, jak również i to, że nie ma w jej składzie nikogo, kto zająłby się porządnym i zwięzłym zredagowaniem sprawozdań z obrad miejskiej i powiatowej Rady Narodowej. Pompatyczne słowo od redakcji i bardzo przypadkowy przegląd prasy zniechęcają do reszty.

Te ostre może słowa krytyki dyktuje mi życzliwość, z jaką oczekiwaliśmy ukazania się no-

dobny podtytuł nosi u nas „Twórczość”, ale „Zeszyty Wrocławskie” w niczym tego miesięcznika nie przypominają. Pismo to samo przez się jest wyrazem dążeń wrocławskiego środowiska literackiego do stworzenia tam ogniska żywej myśli artystycznej i to bynajmniej nie zamykającej się w granicach regionalnej problematyki. Fakt usiłowań wyjścia poza tę problematykę jest zjawiskiem zdrowym i pożytecznym. Wrocław ma zakrój stolicowy, że tak się wyrażę, ma możliwości stania się centrum kulturalnym promieniującym poza granice swojego województwa. Takie są jego tradycje i tak trzeba pojmować jego rolę, w tym kierunku działać.

Nie ma nic przyjemniejszego, jak właśnie we wrocławskim czasopiśmie czytać obok „Niemcewicza na koźle” i „Wizji Henryka Wtorego” takie rozprawy jak Jerzego Kowalskiego „Studia o literaturze rzymskiej” czy Stanisława Rosponda „Pisarz i jego słowo”. Jest w takiej lekturze jakiś specjalny posmak. Jakby się widziało kwiat lub drzewo zakwitające na ruinach symbolu niezwykłej siły witalnej, symbolem życia, które budzi się i rozwija. Katowice zazdrościć mogą Wrocławowi tej symbiozy żarliwego regionalizmu z zagadnieniami szerszymi, ponadregionalnymi. Już w tym kryje się element przyszłości, dziś zarysowującego się przodownictwa kulturalnego ośrodka wrocławskiego dla Śląska z usunięciem środowiska górnośląskiego na plan drugi.

Wszystko to stanowi rozważania trochę teoretyczne. Bo zasadniczo pierwszy „Zeszyt Wrocławski” nie jest zjawiskiem nadzwyczajnym. Tadeusz Mikulski pisze o odwiedzinach Niemcewicza we Wrocławiu a Stanisław Kolbuszewski daje studium o poemacie Wyspiańskiego „Henryk Pobożny” na tle jego podróży do Wrocławia. Andrzej Jochełson pisze o dwóch kościołach wrocławskich. Do tego szczypta, zbyt szczypta część sprawozdawcza. Dlatego tych, którzy kierują tą piękną i godną uznania inicjatywą (Anna Kowalska i Tadeusz Mikulski), należało by przestrzec, że grozi im w dużej mierze dublowanie coraz mniej interesującego miesięcznika „Śląsk”. A od „Zeszytów Wrocławskich” oczekujemy znacznie więcej, ciesząc się niezmiernie z ich powstania. Czytelnikom od razu radzę zacząć kompletować to pismo. Niestety nie mogą tylko zdradzić zazdrośnie przez redakcję strzeżonej tajemnicy, ile kosztuje ta przyjemność. (ki)

Książka J. PUTRAMENTA

„RZECZYWISTOŚĆ”

znajduje się już w sprzedaży w księgarniach.

porządnego dziennika, który Dolnemu Śląskowi był tak potrzebny. Może więc zajmie z czasem na Dolnym Śląsku te pozycje, jaką wyrobił sobie „Dziennik Zachodni” w Katowicach czy „Dziennik Polski” w Krakowie. Przy okazji wzmianki o dodatku do „Słowa” warto zwrócić uwagę na **artykuł Stanisława Szenica w numerze z dnia 12 I, w którym autor domaga się uwzględnienia w planie odszkodowań niemieckich odszkodowania w naturze za zniszczenia w Polsce olbrzymiej ilości dzieł sztuki, odszkodowania w formie przejścia z wielkich galerii niemieckich obrazów i rzeźb przede wszystkim polskich artystów.** Plany odszkodowawcze p. Szenica są bardzo szerokie, a jeśli zwracam uwagę na jego artykuł, to z tego względu, że ten gatunek odszkodowań jakoś nie leży zbyt w naszych ambicjach, że o wyrównaniu tych strat tak mało się u nas myśli.

A teraz ciąg dalszy z Dolnego Śląska. Dawno zapowiadany przez Wacława Mrozowskiego tygodnik **„Wałbrzych”** ukazał się. Pierwszy numer nosi datę 16 stycznia, ale poza samym faktem wyjścia raczej nie budzi entuzjazmu. Po cząwszy od samej winiety wielkich rozmiarów, w ramach których można by od biedry zmie-

gromadzić. Tygodnik musi mieć w zapasie sporo materiału, z którego może dopiero wybierać. Jeśli go nie ma, to znaczy, że trzeba podać w wątpliwość sens jego powstawania i istnienia. Pierwszy numer „Wałbrzycha” obfituje w artykuły wielkich rozmiarów i przeważnie nieciekawe, na skutek trudności w rozmieszczeniu takich popularnie zwanych „kobyłek” porozrzucane w sposób dosyć fantastyczny po wszystkich kolumnach. Na pierwszy plan wysunięto artykuł dyskusyjny na temat stworzenia „Wielkiego Wałbrzycha” przez przyłączenie ośmiu sąsiednich miejscowości, co zostało już, jak pisze autor „zawnioskowane” przez Miejską Radę Narodową. Zagadnienie dzisiaj chyba wobec zadań, jakie to miasto ma przed sobą, raczej drugoplanowe i długofalowe. Można poczekać na realizację tego „zawnioskowania” do czasu, gdy proponowany fakt stanie się wynikiem naturalnej ewolucji i potrzeb. Artykuł o frapującym tytule „W atmosferze czarujących krajobrazów Ziemi Wałbrzyskiej” nic nie oddaje z prawdziwego

wego lokalnego pisma w dalekim nadgranicznym zakątku Dolnego Śląska, zakątku, który godny jest wysokiego uznania za pracę, jakiej tam Polacy dokonali. Z Wałbrzycha wywozi się wiarę, optymizm, zdolność jasnego patrzenia w przyszłość. Wywozi się też wspomnienie uroku jego krajobrazu. Jeśli ten ośrodek rzetelnej pracy przejawia ambicje kulturalne (własny organ jest chyba tego dowodem), to trzeba je odpowiednio realizować. Omalwany tygodnik ma na to za dużo nieporządności, przypadkowości i amatorstwa. Jeśli są środki na pismo, nie wolno ich w ten sposób marnować. Widzimy już, jak się je marnuje w „Nowinach Opolskich”, w „Szczecinie”, nie chcielibyśmy tego samego widzieć na łamach tygodnika „Wałbrzych”. Redakcji życzymy z całego serca, by już drugi numer wolny był od tych zniechęcających czytelnika usterek.

A teraz rzecz najciekawsza: **kwartalnik krytyczno-literacki „Zeszyty wrocławskie”, organ Koła miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu. Po-**

Wydaje Sp. Wydawn. „Czytelnik”. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry”. Redakcja: Katowice, 3-go Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Administracja: Katowice, 3-go Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwartalna 120 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaw. „Czytelnik”, 3-go Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wydawn. „Czytelnik”, Katowice, 3-go Maja 12. R 37005